N. 13. WARSZAWA d. 18 (30) Marca 1872 ROKU.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

MIESZKANIA NAWODNE

PRZEDHISTORYCZNE

przez

Dra Karola Libelta.

a) Kurhany kuchenne.—b) Torfiska duńskie.

Jak po liczbie pierścieni piennych poznajemy wiek drzewa, tak po warstwach pokładowych powierzchni ziemi naszéj, odgadujemy długość dotychczasowego żywota planety naszéj, odkąd zewnętrzne jego formacje dały możność rozwijania się wegetacji roślinnéj, a następnie i organicznego żywota zwierząt i ludzi. A wiek ten wedle badania geologów i geognostów sięga nieskończenie daléj w starożytność, niżeli to nam księgi Mojżeszowe opowiadają.

Najściśléj z temi badaniami połączone są dzieje ludzkie, niezawodnie późniejsze, niżeli dzieje zapadłych organizmów roślinnych i zwierzęcych, których ślady odkrywamy w warstwach podziemnych, ale sięgają daleko daléj, niż 6000 lat, które liczymy od stworzenia świata i pierwszych rodziców Adama i Ewy.

Nie mamy na to historycznych dowodów, bo ani pisma ani tradycje nie przechowały nam śladów, czy i jakie było życie przedhistorycznych ludności. A nawet kiedy już się dzieje ludzkie rozwijały w Indjach, w Egipcie i w nadbrzeżach Śródziemnego morza, była głucha cisza o tém wszystkiem, co się działo w innych stronach nieznajomego i nieodkrytego świata. Zalegała tu jeszcze ćma i barbarzyństwo, kiedy owdzie kultura już jaśniała handlem, bogactwy i wynalazkami, któremi stroiło się ukształcone już życie mieszkańców przemyślnych i handlowych.

Wszakże z tego, co po ludziach jacy po różnych okolicach ziemi rozszerzeni żyli, pozostało i przechowało się już w zwaliskach naturalnéj albo politycznéj rewolucyi, już w zaspach napływowéj ziemi, która opuszczone siedliska zagarnęła, — wnosić można z zupełną pewnością, nietylko jaki był poniekąd stan kultury tych ludzi, ale w przybliżeniu odgadnąć można i wiek, w którym oni żyli.

Badacze starożytności trzy przyjmują perjody kultury ludzkiéj, jakie po sobie następowały już w dłuższym, już w krótszym przeciągu czasu: perjod kultury kamiennéj, w którym ludzie nie znali jeszcze użytku narzędzi kruszczowych, ale wyrabiali je z kamieni, z kości i drzewa twardego: perjod kultury bronzowéj, w którym z bronzu odlewano i wyrabiano narzędzia, naczynia i zbroje; nareszcie perjod kultury żelaznéj kiedy nauczono się kuć i wyrabiać żelazo.

W takiem następstwie natrafiamy ślady wykopalisk. W najodleglejszych warstwach, których wiek naznacza Morlot na 5000 do 7000 lat, mieszczą się pozostałości kamiennéj i kościannéj epoki, bez żadnego śladu kruszczowego narzędzia lub naczynia.

W późniejszych pokładach znajdują się bronzy, a wiek tych pokładów naznacza tenże Morlot na 3000 do 4200 lat. W ostatnich dopiero napływowych warstwach znajdują się narzędzia i sprzęty żelazne. Zdaje się że przez długie wieki ludzie żyli w kamiennéj epoce, i że dopiero ruchy obcych ludów, już ukształceńszych i z wyrobami kruszczowemi obeznanych, przyniosły z sobą w te dzikie jeszcze strony używanie narzędzi bronzowych.

Tymczasem nie same tylko wykopaliska, głęboko zagrzebane w ziemi, dają świadectwo o tych odległych, przedhistorycznych czasach, które kamienna kultura obejmowała. Są jeszcze inne, pewniejsze ślady tych w zapadłéj przeszłości minionych epok, na które dopiero w późniejszych czasach zwrócono uwagę.

Na wschodnich wybrzeżach wysp duńskich postrzeżono, na przeszło 150 do 200 stóp szerokości, a od 7 do 10 stóp wysokości, których wnętrze pokazało się zbiorowiskiem najrozliczniejszych kości, nieskończonéj ilości najrozmaitszych skorup ostrzygowych, muszlowych i ślimakowych, a pomiędzy tem wszystkiem znalazły się zbroje i narzędzia z kamieni, z drzewa i z kości; skorupy roboty garncarskiéj, niewypalone ale suszone, z bardzo lichemi ozdobami, palcem lub paznogciem narysowanemi. Mięszały się także węgle i popiół. Widać, że to były odpadki kuchenne ludzi tu niegdyś mieszkających, a żywiących się mięsem zwierzęcem i muszlami. Dla tego je też Duńczykowie nazwali Kjoekkemoeddings. Inni przezwali je kurhanami muszlewemi dla przeważnéj obfitości znajdujących się w nich skorup muszlowych.

Pokazało się niebawem, że podobne nasypy odpadków kuchennych znajdują się prawie na wszystkich wyspach, począwszy od wysp Szetlandzkich aż do Australii. Widziano je na półwyspie Malajskim i na wschodnich brzegach Brazylii. Charakter ich wszędzie ten sam. Wszystkie sięgają kamiennéj epoki. Nigdzie nie znaleziono śladu jakiegokolwiek metalu. Kości spikowe są połupane, bo widać szpik ludzie ci wysyssali z kości. Inne, nie mające spiku znajdują się w całości. Zachowały się na nich najwyraźniéj wytłoczenia zębów ludzkich i psich.

Pomiędzy kośćmi odszukano szczątki najrozmaitszych zwierząt, wszystko w stanie dzikim jakoto kości pierwotnego wołu (bos primigenius), który dawno już wyginął, kości jeleni, sarn, bobrów i psów morskich; wilków, lisów, kun, ostrowidzów, dzikich kotów, jeży, szczurów wodnych, wyder i t. p. Nie odkryto nigdzie szczątków rena, łosia, zająca, ani domowych zwierząt jak koni, rogatego bydła i owiec. Jeden tylko pies był, jak się zdaje, u tych ludzi zwierzęciem domowem. Znalezione po nim kości wskazują na gatunek psa, wielkości naszego wyżła. Z ptastwa najwięcéj resztek z dzikich gęsi, dzikich kaczek i dzikich łabędzi, tudzież kur leśnych, żywiących się po największéj części młodą jedliną, która od niepamiętnych wieków już w Danii nie rośnie, i dziś nie ma już śladu takiego ptastwa w tych

stronach. Podobnie znaleziono kości wielkiego nurka (alca impennis), którego ostatnie egzemplarze jak *Karol Vogt* utrzymuje, w roku 1842 w Islandji wymarły. Kości kur swojskich i drobnego ptastwa nie odkryto nigdzie. Ości rybie, mianowicie śledzi, sztokfiszu, węgorza i innych. dają świadectwo że się owi mieszkańcy i rybami żywili. Śladów zboża nie odkryto żadnych. Rolnictwo zatem po owe czasy nie było jeszcze znanem. Przemysł był na najniższym stopniu. Nie znano użytku ognia dla wypalania statków glinianych. Lepiono je rękami i wysuszano na słońcu. Kamienie obrabiano na siekiery, kliny, ostrzejsze wiory kamienne służyły za noże, i spychano niemi mięso z kości. Klinami obrabiano i drążono drzewa.

Obszerniejsze wiadomości o kurhanach muszlowych albo kuchennych, podał Karol Vogt w swoich odczytach o człowieku i jego stanowisku, tak w całem stworzeniu jak w historji ziemi naszéj*), do których czytelnika odsyłamy.

Tu tylko jeszcze dodamy, że tego rodzaju kurhany w czasach przedhistorycznych, powstawały naturalnym sposobem wszędzie po nad brzegami wód, gdzie się osady ludzi mnożyły w liczniejsze zbiorowiska. Ztąd *Karol Lyell*, znakomity pisarz angielski, którego dzieło o dawności rodzaju ludzkiego na ziemi, wydał w tłomaczeniu niemieckiém z dopisami i objaśnieniami dr. *L. Büchner***) wspomina, że podobne kurhany, jak w Danji, widział po nad brzegiem morskim w Massachusett i w Ueorgji, które zapewne tam nagromadzili Indjanie amerykańscy w czasach wiele już późniejszych, ale zawsze jeszcze przed odkryciem Ameryki. Znalazł w nich ślady kamiennéj epoki, podobnie jak w Danji.

Drugim zabytkiem ludności przedhistorycznych czasów są torfiska, także nasamprzód w Danji odnalezione; nazywają je tam murszami borowemi (skovmose). Głębokość ich sięga do 30 stóp, a cały pokład takiego torfiska ma kształt lejkowatego wydrążenia, którego ściany z twardych pokładów z ziemi porosłe snać były olbrzymiemi jodłami. Jodły te mające koło półtora łokcia w przecięciu piennem, a liczące kilka set lat wieku, leżą powałem, poobalane, wierzchołkami ku środkowi torfiska, na ostatnich jego pokładach, i wskazują na czasy bardzo odległe, kiedy jeszcze w tych stronach rosły tego rodzaju igliwia, których tam oddawna już nie ma, a nawet siane i przesadzane nie udają się w tych gruntach. Co też w tych warstwach znajduje się, pochodzi z kamiennéj epoki na podobieństwo wykopalisk w kurhanach kuchennych. Dopiero w późniejszych pokładach, w których natrafiamy na perjod dębów, jakich dzisiaj także już nie ma w Danji, znajdują się rozmaite wyroby bronzowe, odnoszące się do daleko późniejszéj epoki. Dziś tam tylko buczyna porasta. Danja przeszła tym sposobem trzy oddzielne perjody porostu drzew: jodeł, dębów i buków, zapewne tysiącami lat od siebie oddzielone. Duński archeolog *Steenstrup* najwięcéj zajmował się skrzętnem ich zbadaniem. Uważał, że pnie wielu jodeł były poopalane i wnosił, że używano ognia do ich obrobienia. Z pod jednéj jodły opalonéj wydobył siekierę kamienną, zdatną do okrzesywania węgli a może i wiorów, ale za słabą za tępą do przerąbywania grubego drzewa.

Ani w torfiskach, ani w kurhanach, nie natrafiono na kości ludzkie. Wszelako odkryto w pobliżu groby, ułożone z wielkich zestosowanych kamieni, w których się znalazły narzędzia z kamieni i z kości, oraz i czaszki ludzkie. Budowa czasek uderza małością; są okrągłe bez pojedynczych wypukłości, tylna część głowy krótka, za to łuki nad oczne naprzód wystające i kość nosowa wydatna. Wklęsłość między górną częścią nosa a czołem tak głęboka, że się w niéj wygodnie palec dorosłego człowieka pomieści. Małość i okrągłość czaszki wskazuje nam podobieństwo do czaszek Lapończyków, tylko że te ostatnie nie mają takiego wgłębienia górnéj kości nosowéj, ani tak wystającego i skrzywionego obwodu przednich zębów.

Nie ulega wątpliwości, że ludność która tu za kamiennéj epoki mieszkała, należała do szczepu *Finnów*, rasy północnéj, u któréj aż do czasów historycznych przechował się obyczaj jedzenia ryb surowych i mięsa surowego, oraz wyssysania szpiku z rur kości. Takie same obyczaje widać posiadali ludzie kamiennéj epoki w północnych stronach Europy, a sięgali aż w północne okolice Niemiec, jak to wskazują odkryte grobowce Meklemburgji z podobnemi małemi okrągłemi czaskami.

Gdy nam nic a nic o tych ludach nie wiadomo i tylko z zabytków, jakie nam wykopaliska przekazały, możemy robić wnioski i domysły o ich sposobie życia, to też na samych domysłach oparte są twierdzenia badaczy starożytności. Widać, że gromadzili się i osiadali nad wodami, co w pobliżu brzegów natrafiamy na pomniki po nich. Snać, że się trudnili rybołówstwem, bo w kurhanach kuchennych pełno znajdujemy ości rybich. Zjadali zapewne ryby żywe, jak się to dziś jeszcze dzieje w północnéj Syberji. Zjadali prawdopodobnie surowe mięso ubitych zwierząt, bo gdzie niegdzie tylko natrafiamy na ogniska z kamieni wraz z węglami, co dowodzi że na tych ogniskach gotowano lub pieczono. Atoli jakie ich było rybołówstwo, jakiemi środkami ubijali zwierzęta, nawet domyślać się nie umiemy. Najpewniéj pływali po szerokich pniach, lub na spojonych kilku drzewach na tratwę. Może późniéj wyżłobiali pnie i tworzyli czółna, a łowili ryby gromadami idące, jak śledzie, albo suwające się po trawach, jak węgorze. O sieciach i wędkach zapewne wyobrażenia nie mieli. Zwierzęta dzikie ubijali może naganką, uzbrojeni w drągi lub pałki, ptastwo dosięgali pociskiem kamienia lub drewna. Taki niski i taki smutny przedstawia się stan ludzkości owéj kamiennéj kultury. O ich społecznem, religijnem i dziejowem życiu naturalnie nic nie wiemy.

Do jakich wieków one czasy sięgają, odgadnąć tylko można albo z geologicznych obrachunków, albo z obliczenia lat, których potrzebuje formacja np. torfowiska. Pod tym względem łatwiéj obliczyć wiek wykopalisk w torfiskach duńskich niżeli starożytność kurhanów kuchennych. Po tych ostatnich nie ułożyły się warstwy pokładowe ziemi, powlekły je tylko zaspy napływowego piasku i gliny. Z wynajdowanych kości, zaginionych już od dawna zwierząt i ptastwa, wnosić tylko można o dalekiéj epoce, kiedy na ziemiach duńskich jodła jeszcze porastała, a więc około trzech do czterech tysięcy lat, a może i wiele dawniéj.

Inaczéj się rzeczy mają z torfowiskami, mieszczącemi w sobie zabytki epoki kamiennéj. Lyell któregośmy wyżéj przytoczyli, utrzymuje, że torfiska duńskie najmniéj od lat 4,000 już się były w torf ukonstytuowały, i że do ich formacji potrzeba było przynajmniéj 16,000 lat. Jeżeli obliczenia jego są prawdziwe, to spodnie warstwy formującego się torfu, w których znajdują się poopalane jodły i narzędzia z epoki kamiennéj, wskazywałyby na wiek dziesięciu do dwunastu tysięcy lat.

(d. c. n).

Pogadanka.

Niedawno w pewnem kółeczku, lubiącem zaprzeczać i dowodzić, szperać w ziemi, na ziemi i nad ziemią, podniesiono kwestją klassy służbowéj, z którą przyjście do pewnego udał, coraz staje się trudniejsze. W poszukiwaniu przyczyn zgodzono się na jedną, na brak jakichkolwiek bądź starań do usunięcia jego dażących. Kraj pracuje nad bydłem aby było tuczniejsze i więcéj mleczne, nad owcami aby dawały obfitsze runa i cieńszą wełnę, nad końmi aby zyskiwały na sile i piękności, nad drobiem aby mniéj był karłowaty: posiada towarzystwa opieki nad zwierzętami, spożywcze, zaliczkowe, kredytowe, muzyczne, resursy, kuchnie tanie, myśli ciągle o nowych przedsiewzięciach, zjednoczeniach, spółkach, a nikt dotąd nie rzucił nawet projektu, co tu zrobić, żeby kucharki nasze umiały gotować, młodsze szyć, prać i prasować, żeby zamiłowawszy porządek unikły wystawania próżniaczego w bramach i przy wodociągach, wycieczek na miasto, późnych powrotów do domu, żeby sprzęt domowy nie niszczyły, własność państwa szanowały, żeby słuchając rad i napomnień mogły pojmować co istotnie jest złem a co dobrem, i żeby wreszcie, zamiast zbytku, umiłowały skromny przystrój a oszczędności ztąd otrzymane składały w kasie na ratunek w późniejszym wieku, lub na posag w razie zamążpójścia.

Rozszerzenie oświaty przy pomocy szkółek i wydawaniu następnie odpowiednich dziełek, nie ma wątpliwości że wywołałoby wpływ arcy pożyteczny. Ale jak tu usunąć przeszkody, tamujące rozwinięcie téj zbawiennéj myśli, nie posiadając środków do tego właściwych?

— Więc użyjmy pół środków; odezwał się pan Ypsylon i poszedłszy za prądem czasu wpadającym w drugą ostateczność bezwględnego realizmu, zachęćmy służbę nagrodami pieniężnemi do troskliwszego czuwania nad swem postępowaniem. Nie posiadam wykazu statystycznego, jaka liczba znajduje się klasy służebnéj w Warszawie, licząc do niéj zarówno mężczyzn jak kobiety, zarówno mieszczących się w domach prywatnych jak w hotelach, w traktjerniach, bawarjach, szynkach i tym podobnych innych zakładach. Zdaje mi się jednak że nie przesadzę, jeżeli cyfrę jéj na dziesięć tysięcy oznaczę. Gdyby więc każda taka służebna jednostka, zmuszona była do składki kwartalnéj pół rubla wynoszącéj, i do podobnéj państwo u których służy, toby od każdéj wypadło rocznie rubli cztery czyli ogółem rubli 40,000. Cyfra to niezmiernie poważna, użyta roztropnie mogłaby wiele zdziałać dobrego, i najwłaściwiéj należałoby ją przeznaczyć na zapomogi dla żeniących się lub idących za mąż tych z klassy służebnéj, którzyby świadectwami wykazali, że obowiązki swe nie tylko spełniali umiejętnie, ale uczciwie przynajmniéj przez lat trzy. Składka z pierwszego roku mogłaby być obróconą na fundusz żelazny, od którego dochód w części większéj użyłby się na administracją: przy końcu drugiego roku mogłby już nastąpić rozdział zapomóg przynajmniéj po tysiąc złotych wynoszących, coby dozwoliło na uposażenie trzystu osób, jeżeli wliczymy do składek, procent

---

*) Vorlesungen ueber den Menschen, seine Stellung in der Schoepfung und in der Geschichte der Erde. Giessen 1863. II strona III.

**) Lipsk 1864 nakładem Theodora Thomasa.

od nich w ciągu roku otrzymany i pozostały remanent procentowy z funduszu żelaznego. Składka dwu rublowa rocznie od głowy, ani dla służby ani dla państwa nie będzie uciążliwą. Służba bowiem więcéj jak dwa ruble marnuje rocznie na wydatki najniepotrzebniejsze, państwo zaś mając staranniejsze sługi, mniéj szkód od nich ponosić będą, co pewno więcéj jak dwa ruble rocznie przyniesie oszczędności. Teraz proszę zważyć jaki to wpływ wywrze rozejście się wiadomości, że trzysta jednostek w nagrodę dobréj służby przy zawieraniu związków małżeńskich, dostało po tysiąc złotych, i że tyleż corocznie będzie podobnie obdarzanych.

— Ależ to wstrętny materjalizm, odezwała się jedna z pań należących do towarzystwa.

Dla podniesienia moralnéj wartości człowieka, jakże można używać przekupstwa a nie mocy przekonania, że dobre jest nie tylko szlachetnem, ale i pożytecznem!

— Sprzeczność to pozorna, odrzekł pan Ypsylon wreszcie duch czasu obecnego odrzuca wszystko, co się nie da wagą złota ocenić. Wyzyskać, zarobić na każdéj rzeczy, wyciągnąć procent nawet z powietrza, którem oddychamy, oto nowe zasady wciskające się już i w naszą społeczność. Idealizm przeszłości zubożył nas, realizm przyszłości zbeszcześci i obrzuci błotem. Złe i jedno i drugie, a przeciw niemu, jedynem lekarstwem równowaga, któréj żadnym sposobem dopatrzyć nie mogę. Przyjdzie ona kiedyś, ale jakże strasznemi ofiarami okupiona! Gdyby w téj gonitwie za zyskiem czepiano się przemysłu, handlu, rzemiosł, i starano się trudem, mozołem, nauką, podnosić to co zaniedbane, pogardzone, odepchnięte, z jakąż radością patrzałbym na szermierzy garnących się do tak zaszczytnej pracy. Tymczasem przemysł, handel, rzemiosła w dawnym pozostają zaniedbaniu, młodzież setkami wychodzi z uniwersytetu, część jéj jak dawniéj bez przygotowania czepia się roli, część pomieszcza się na rożnych posadach, a część nie mając ani roli ani posady zostaje.... literatami.

Realizm i do pracy myśli wyciągnął pazury, ścisnął ją kleszczami swéj chciwości i przemienił w cyrkowego błazna, dla oklasku przemieniającego się w dziwoląga, lub narażającego kark na złamanie a zęby na wybicie. Jeżeliż więc i literaturę już wyzyskują, dla czegoż nie wyzyskać chciwości ludzkiéj dla poprawy i umoralnienia? Niedawno Kaliszanin rozwodził żale nad brakiem w ich mieście różnych profesjonistów jak np. tokarzy, dentystów, korektorów instrumentów rżniętych, i nad wyzyskiwaniem z tego powodu mieszkańców przez cudzoziemskich szarlatanów, każących sobie za usługi płacić już nie zylberami ale rublami. Ten sam brak daje się wszędzie postrzegać, nie tylko w miastach prowincjonalnych, ale nawet i w Warszawie, i to nie w samych jedynie rzemiosłach, ale we wszelkich zajęciach samodzielności ludzkiéj będących owocem.

Na pomoc dla studentów uniwersytetu, dają bale, widowiska, robią składki, zapisy, ponoszą ofiary, to też prawników mamy chmarę nieprzeliczoną, to samo doktorów medycyny, gdzie spojrzysz wszędzie głowa zadarta i upatentowana, reformująca społeczność według nowych zasad i pojęć, drwiąca z przeszłości, poniewierająca, domagająca się gwałtem czci i oklasku, wrzeszcząca całem gardłem, żeście wszyscy głupcy wierutni, a ona tylko nieomylnością wskroś przesiąknięta. Ale kraj pije liche piwo, żywi się chudem mięsem i chlebem źle przyrządzonym, zaspakaja się partactwem rzemieślniczem, handel, przemysł, fabryki oddaje w ręce cudzoziemców, sprowadza wszystko z zagranicy począwszy od szuwaksu lustrującego buty na nogach tych nowych reformatorów społecznych aż do kapelusza, i biedzi się z ciemnotą mass ludności, coraz zazdrośniéj patrzących na swoich niby przewodników. Nie mogąc więc działać na ogół, wpływajmy na jego cząstkę klassę służebną składającą, a w braku innych środków zachęcajmy ją do poprawy nadzieją nagrody pieniężnéj.

W Kijowie i Odessie podobno już utworzyło się towarzystwo szerzenia oświaty ludowéj, my tylko jedni nie przykładamy ręki do dzieła, będącéj głównym fundamentem ogólnéj pomyślności....

— Ależ panie Ypsylon, przerwano chórem, zapominasz....

— Wiem, wiem co chcecie powiedzieć, odezwał się mówca, ale sprobójmy próba przecie szkody nikomu nie przyniesie. Będziemy zapewne mieli towarzystwo ćwiczeń gimnastycznych, dla czegóż nie miałoby powstać towarzystwo ocucania umysłu z wiekowéj ospałości? W zdrowem ciele dusza rozumnie myśląca, stanowi dopiero człowieka.

Towarzystwo nagle zamilkło, ale po chwili rozmowa ożywiła się, a o czem rozprawiano późniéj zdam sprawozdanie. Ciekawe ono będzie i bardzo żywotne, a teraz kilka słów z naszego powszedniego życia.

W teatrze przedstawiono nareszcie dramacik jednoaktowy pod tytułem: Robotnicy, drukowany przed dwoma laty w naszem piśmie. Nie jest to już farsa którą od tak dawna widzowie obdarzani są z wielką uporczywością, ale istotny dramat zalecający się poważną myślą i szlachetném jéj pełnem godności przeprowadzeniem. Autor za treść wziął ustęp z życia biednéj rodziny rzemieślniczéj, do któréj po dwudziestu trzech latach zostawionéj w opuszczeniu, wraca jéj ojciec, Morin, niegdyś pijak, opilstwem przyprowadzony do uderzenia żony Joanny nożem, skutkiem tego zbiegły przed poszukiwaniem sprawiedliwości, a dziś żałujący i poprawiony. Uważając się za wdowca, nie wiedząc że żona żyje i że jest ojcem dzielnego syna Marcelego Kamieniarza, który przyszedł na świat po jego ucieczce, przypadkiem staje pod dachem własnéj rodziny. Sprowadza go tam chęć poznania młodzieńca co ukochał biedną sierotę, któréj Morin sam z własnéj woli stał się opiekunem i jedynym dobroczyńcą. Chwila poznania i objaśnień pełna strasznego dramatu. W opowiadaniu przez p. Królikowskiego swych grzechów, zbrodni i odbytéj pokuty, tyle jest prawdy i czucia, tyle potęgi i mistrzowstwa, że mimowoli oczy słuchających promienieją łzami, oddech wstrzymuje się w piersi a nad widzami unosi się cisza, jakby w pustkowiu bezludnem, pozbawionem wszelkiéj żyjącéj istoty. Publiczność licznie się gromadząca na każde przedstawienie, najlepiéj dowodzi czego pragnie i co domaga się, a jednak dwa lata czekaliśmy zanim przecie dyrekcja namyśliła się obdarzyć nas tak piękną rzeczą. Ileż to nędznych fars i ramot zyskało pierwszeństwo przed tym utworem tak ujmującym.

W wydawnictwie księgarskiem objawia się pewien ruch wielce pożądany. Zapowiedziano aż dwie encyklopedje mające się wydawać przez pana Ungra i synów zmarłego księgarza Orgelbranda. Szkoda tylko, że w obu tych przedsięwzięciach skład przyszłéj redakcji nie został ujawniony. Wprawdzie pracą redakcyjną w encyklopedji p Ungra, ma się głównie zająć przy pomocy starszych i młodszych pracowników, redakcja Tygodnika illustrowanego i Wędrowca, a w encyklopedji sukcesorów Orgelbranda specjaliści naukowi w rozlicznych literatury kierunkach dobrze już zasłużeni, ale to nie dosyć. Ogółowe takie określenie nic nie objaśnia, tu koniecznie potrzeba imion, aby publiczność miała rękojmię, że praca nie będzie tuzinkową i da to co obiecuje. W każdym razie wydawnictwo zapowiedziane wielce jest pożądanem, ale dla czegóż aż przez dwie firmy zostało przedsięwzięte? Czyż takie rozdzielenie sił naukowych naszych specjalistów, których do zbytku nie posiadamy, nie wpłynie szkodliwie na wartość zamierzonych publikacji? Jeżeli zaś jedni i ci sami i tu i tam będą pracować, i jednemi posługiwać się źródłami, to po cóż aż dwie od razu na raz jeden edycje? Rzecz to kosztowna wielce, czyżby nie można tego uniknąć przez porozumienie się wydawców i zawarcie spółki, z uwzględnieniem osobistych widoków?

Bądź co bądź, encyklopedję nową z corocznemi uzupełnieniami będziemy wreszcie mieli. Obie firmy dają wszelką pewność, że zapowiedziane poszyty bez żadnéj zwłoki w oznaczonych terminach wychodzić będą, i że ogłoszenie ich nie jest wrzaskiem blagierji szarlatańskiéj, obiecującéj kopalnie rozumu, a dającéj błachostki a zapowiadającéj tomy, wydającéj zaledwie broszurki, umiejącéj wreszcie rozkrzykiwać hymny pochwalne dla swojéj bezinteresowności i poświęcenia, a naznaczającéj w cenie ruble tam gdzie i dwuzłotówki byłyby aż nadto wystarczające Przytem obietnica wydawania corocznych dodatków, dozwoli wydawnictwu iść z biegiem czasu, co na wartość jego wpłynie niezmiernie korzystnie.

Przegląd literacki.

Perły. Zbiór celniejszych powieści z literatury angielskiéj dla młodocianego wieku. Wolny przykład Władysława Ludwika Anczyca z 8 rycinami. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1871 r. str. 250.

Już to przyznać trzeba, że księgarnia pp. Gebethnera i Wolffa z dobrem zrozumieniem potrzeb miejscowych swoje nakłady wybiera. Druga to książka jéj wydawnictwa, o któréj z przyjemnością i uznaniem mówić nam przychodzi. O ile *Wieczory Czwartkowe* (Patrz N. 4 Tyg. Mód) starszym o tyle *Perły* młodszym dzieciom wielce się przydadzą; osobliwa-to niespodzianka dla nich wśród nędznych ramot, tak starych, jak nowych, tak swoiskich jak tłomaczonych.

Perły tak treścią swoją, jak formą w zupełności odpowiadają swojemu tytułowi. Bo rzeczywiście, każda z szesnastu *powiastek*, które się mieszczą w téj książce, prawdziwą jest w swoim rodzaju perełką. Autor okazał tu wiele taktu pedagogicznego: powiastki są zajmujące, a każda z nich inną myśl zawiera.

A chociaż, jakeśmy to dali poznać w uprzednich naszych artykułach, nie jesteśmy zwolennikami wszelkich baśni, w których zwierzęta prawią dzieciom morały: przyznać jednak musimy, iż sposób, w jaki autor wywiązał się ze swojego zadania, godzi nas po części z tego rodzaju kompozycyami, zwłaszcza, że potrafił osiągnąć na raz aż dwa cele: zbogaca umysł dziecka, bawiąc je, mnóstwem elementarnych wiadomości z nauk przyrodzonych, i kształci serce, budząc w niem najszlachetniejsze uczucia. Że tu przemawiają zwierzęta, a nawet gazy i kamienie, to w niczem nie obałamuci umysłu dziecka, gdyż rozmowy te prowadzone są tak zręcznie, tak trafnie i tak pięknym językiem, iż snadno ono zrozumie, kto tu właściwie przemawia i do kogo stosują się wyrzeczone słowa. Żadnéj tu nie masz dziwacznéj fantastyczności, żadnéj niedorzecznéj cudowności, któreby fałszowały wyobraźnię dziecka, ale za to jak przystępnie, jak obrazowo i barwnie przedstawione są nawet abstrakcyjne pojęcia!

Weźmy na przykład powiastkę o *Małym światku*. Czy można trafniéj dziecię przekonać, dla czego

zmarłe osoby nie wracają na ziemię, i dla czego w warunkach naszego ziemskiego bytu nigdy oglądać ich nie możemy. Z innéj znów strony, do znudzenia powtarzane (a więc bezskutecznie) najprostsze prawdy i przestrogi, pod utalentowanem piórem autora, tak stają się świeże i zajmujące, iż niewątpliwie głęboko sie wryją w serce i pamięć przyszłego człowieka.

Dla poparcia naszego zdania przytaczamy zasadniczą myśl kilku powiastek tego perełkowego zbiorku *Należy słuchać starszych*, powtarzamy nieustannie każdemu dziecku, wie ono też o tem dobrze, ale po przeczytaniu powiastki *Jagniątko* dopiero przekonanem zostanie z największą pewnością. *Swierszcze* naucza je zawczasu, jak nie należy zrażać się małemi przeciwności i użalać się na nie. *Podróż dwóch piesków* poprawić może niejedno złośliwe, rozpieszczone a głupie panictko. *Ptaszki w gniazdku* rozrzewniający dają przykład miłości macierzyńskiéj. Stosunek *motyla do gąsienicy* zrozumiałą dziecku czyni jednę z prawd, o któréj samo życie dopiero je przekona. Trzy ostatnie nieco dłuższe powiastki mogłyby zająć i starszego czytelnika z takim wdziękiem i prawdą są napisane. *Historya deszczułki* wystawia naszkicowany obrazek niemiłosiernego chciwca. *Trójka szkolna*, pełna niewinnego humoru zabawić, a bodaj i poprawić może jakiego kłótnika, siejącego niesnaski między szkolnemi towarzyszami. Nakoniec *Dukat Stasi* bardzo trafną daje nauczkę zamożniejszym ludziom, jak pomagać należy popadłym w biedę bliźnim, aby pomoc ich zamiast dobrych, złych nie wydała owoców.

Chociaż w tytule czytamy, że książeczka ta jest wolnym przekładem z angielskiego, to wszakże śmiało p. Anczyc może się uważać za jéj autora, myśli bowiem w niéj zawarte tak dobrze w angielskiéj, jak niemieckiéj, a nawet i naszéj literaturze oddawna są znane, ale ubranie ich w formę kunsztowną, wypowiedzenie tak pięknym językiem, wyłączną jest własnością pisarza polskiego, zwłaszcza też takiego jak Anczyc, chlubnie znanego nie na jednem polu ojczystego pismiennictwa.

Ryciny, któremi przełożone Perły, kreślone ołówkiem jednego z celniejszych naszych artystów (W. Gersona) uzupełniają i uplastyczniają to, coby w samych powiastkach mogło dla dziecka być nie dość jasnem i przystępnem.

Druk książki, papier, korrekta—wyborne, chociaż co do téj ostatniéj z przykrością robimy uwagę, że przecinkowanie niedokładne, a pisanie *słów* razem z przeczącym przysłówkiem *nie*, fałszywe, nie mające najmniejszéj zasady. Błędu tego dopuszczają się drukarnie zagraniczne i niektóre krajowe, ot po prostu dla tego, że panu korrektorowi nie chce się mozolić i trochę zastanowić, gdzie owo nieszczęśliwe *nie* pisać razem, a gdzie oddzielnie, tymczasem pierwsza lepsza grammatyka polska, gdyby do niéj zajrzał, nauczyłaby go prawidła, które jest wspólne prawie wszystkim nowoczesnym językom.

J. P.

OBRAZY
NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA ZACHĘTY
SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE.

Obraz pana Löfflera niewielkich rozmiarów, stanowi prawdziwą ozdobę Wystawy i od niego też przegląd dzisiejszy rozpoczynamy. Artysta za treść do swéj pracy wziął chwilę niezmiernie radosną a i drażliwą zarazem, — jaką nieraz w życiu spotkać się może.

Rzecz dzieje się we Francji w wieku peruk i etykietalnéj sztywności, kiedy oparcie się o poręcz krzesła, obudzało zgrozę w wytresowanych starannie w szrankach salonowéj przyzwoitości. Przy stoliku w komnacie bogato przystrojonéj, siedzi towarzystwo z kilku kobiet i mężczyzn składające się. Jest to widocznie rodzina gospodarza domu, młodego małżonka, równie młodéj kobiety, którą tylko miłość męża wydobyła ze skromnéj wiejskiéj siedziby i wprowadziła w pańskie progi dotąd jéj obce. Rozmowę zapewne o fraszkach i drobnostkach, o różnych nowinkach dworskich a może i miłostkach wielkoświatowych, nagle przerywa wejście do salonu ojca młodéj gospodyni, który aby sprawić niespodziankę ukochanéj przez siebie córce, nie wahał się dzielącą ich przestrzeń przebyć pieszo i przyprowadzić z sobą młodsze rodzeństwo.

Na widok przybyłego, całe towarzystwo porusza się; córka ze szczerem uradowaniem zarzuca ręce na szyję ojca, ten również uszczęśliwiony przytula ją do siebie, patrząc z przejęciem w oczy błyszczące łzami radości: zięć niby uśmiecha się przyjaźnie, niby wyciąga rękę na powitanie, ale robi to tak sztywnie, z tak urzędowem wyrachowaniem, z taką pamięcią na swe stanowisko i obecność rodziny, że widać jak się biedak kręci czując, że jest między młotem i kowadłem. Goście nawet nie powstają na powitanie: jedni nie dają na niego najmniejszego baczenia, drudzy spoglądają ze wzgardą prawie nienawiścią; a jedna zapewne matka gospodarza domu z tak wielką niechęcią, że ją aż najbliższy sąsiad stara się udobruchać szepcząc coś tajemniczo.

Ojciec poczciwy aby ukochanéj córce niespodziankę zrobić całkowitą, przyprowadził z sobą jeszcze młodszą siostrzyczkę i najmłodszego braciszka z koszyczkiem jabłek w podarunku. Dziewczynka podlotek widząc szczęście promieniejące z twarzy starszéj swéj siostry, uśmiecha się z wielką naiwnością, czekając tylko chwili w któréj i jéj się uścisk dostanie. Chłopczyna obok stojący onieśmielony wspaniałością pańskiéj siedziby, stoi trwożny, nieruchomy, nie widzący nawet jabłek wypadających mu z koszyczka na ziemię. W progu drzwi wchodowych stoi lokaj w liberji i peruce, zimny, sztywny, wyprostowany i patrzący bezmyślnie na tę scenę radości domowéj.

Artysta wszystko to cośmy opowiedzieli przewybornie odwzorował. Radość ojca i córki, naiwny uśmiech dziewczęcia cieszącego się innych weselem, radość zięcia mniej już wylana i wyrazista, wszystko to oddano z taką prawdą, z tak wybornem odróżnieniem uczuć poruszających sercami przedstwionych osób, że na pierwszy rzut oka odrazu odgaduje się stopień pokrewieństwa, zachodzący pomiędzy niemi.

(d. n.)

Różne wiadomości.

Gazeta Petersburgska *Listok*, donosi, iż rozpoczął się już ruch pasażerów na nowootwartéj Drodze Żelaznéj od Nikołajewskiéj do Rybińskiéj Stacji. Świeżo otwarta droga i pod tym względem na uwagę zasługuje, iż urzędnikami Telegrafu są po większéj części kobiety, z ogólnem zadowoleniem publiczności, która ma być daleko chętniéj i grzeczniéj obsługiwaną, aniżeli na innych linjach gdzie pomienione obowiązki pełnią mężczyźni.

— Zarządzający w Peterburgu więzieniem p. Nowosielski, wyjednał od Rządu pozwolenie na urządzenie perjodycznych odczytów publicznych dla obojéj płci więźniów. Przed niedawnym czasem pierwszy pan Piewcow wystąpił z takim odczytem. Więźniów dobrowolnie zebrało się do *trzystu*. Pan Piewca czytał „o pielgrzymce do ziemi świętéj" i odczyt jego głębokie na słuchających zrobił wrażenie. Przy téj sposobności zarządzający więzieniem zrobił uwagę w raporcie, iż szczególniéj kobiety odznaczały się wielką chęcią nauki, tak dalece, iż na następny odczyt pana Smiriakina niewiele mniéj się zebrało kobiet niż mężczyzn, chociaż kobiety w więzieniu stanowią szóstą część ogólnéj liczby aresztantów.

Od Redakcji.

W kwartale drugim r., b., Tygodnik Mód i Powieści pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami.—Po ukończeniu drukujących się Powieści rozpoczniemy druk oryginalnéj p. t. **Albina** studjum powieściowe z notatek autora ułożone przez Jana *Zacharjasiewicza* i tłomaczonéj z niemieckiego p. t. **Bohater pióra** przez *E. Wernera*.

Prenumerata pozostaje ta sama a mianowicie kwartalnie:

w Warszawie Rs. 1 kop 50.

Na prowincyi z opłatą pocztową Rs. 2.

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać *wcześnie wprost do Redakcyi* pod adresem, w każdym znajdującym się numerze.

Ponieważ żądania powtórnego przesyłania numerów czy to nieodebranych, zagubionych lub zniszczonych znacznie się zwiększyły, że aż zmuszeni zostaliśmy odbijać większą liczbę egzemplarzy nad istotną tego potrzebę, co naturalnie powiększa koszta wydawnictwa, w przyszłości zatem te tylko numera przesyłać będziemy *bezpłatnie*, po które nastąpi zgłoszenie zaraz po nieodebraniu właściwego numeru, a otrzymaniu następnego. Do żądań zaś w innym dopełnionym czasie, prosimy dołączać w markach pocztowych należytość, za każdy numer wynoszącą kop 15, a przesyłka numerów natychmiast dopełnioną zostanie.

Przyjaciel Dzieci,

Pismo tygodniowe illustrowane dla dzieci od 5 do 14 lat wieku i w kwartale drugim r. b. wychodzić będzie pod temi samemi warunkami. Prenumerata nadzwyczaj niska pozostaje ta sama, a mianowicie:

Kwartalnie w Warszawie kop. 75.

Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą pocztową i ekspedycją rs. 1.

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać **wcześnie wprost do Redakcji** pod adresem J. K. Gregorowicza ulica Żabia N. 956.

Do dzisiejszego Numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Druk K. Kowalewskiego ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 13 r. 1872.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dokończenie).

Czekał odpowiedzi, ale jéj nie otrzymał. Raz Elwira zerwała się z krzesła nagle, jakby idącego dziadunia wstrzymać chciała i bezsilna opadła na krzesło, powtarzając raz jeszcze: *krawiec*!

Dziadek zadysponował pakowanie, sam zaś poszedł po powóz. Sciańska przyniosła worek podróżny i burnus, pytając co ma zabrać, ale ruszeniem ramion odpowiedziała jéj tylko Elwira. Słychać było turkot powozu, który się zbliżał do furtki. W kwadrans później pani Sciańska chodziła po swoim pokoju i pozamykawszy drzwi wszystkie, zabierała się do snu, może nie bardzo nieszczęśliwa z tego, iż została sama panią domu.

Gabriel przeczuwał coś złego, a przynajmniéj burzliwą scenę, wymówki, pojednanie... ale się nie spodziewał tak doraźnego sądu nad sobą, rozmarzony wyszedł z willi i powlókł się do domu, piastując w rękach daną mu różę stolistną, któréj zapach go upajał. Powróciwszy z religijnem poszanowaniem włożył ją w szklankę, woń ta całą noc sny mu rajskie sprowadzała, w marzeniu chodził po ogrodku z nią, ona opierała się na jego ręku, cicho szeptali o przyszłości.

Gdy się zrana przebudził, cały był jeszcze upojony temi snami, i z niecierpliwością doczekawszy przyzwoitéj godziny, pobiegł do Villi dei Fiori.

Biedni ludzie, co niegdyś szczęście znali, a potem ucierpieli wiele, dochodzą czasem do tego upadku serca, jeśli się tak wyrazić godzi, iż niemal się cieszą widokiem niedoli cudzéj i losu podobnego swojemu. Pani Sciańska domyślała się przyjścia tego pana, słuchała całéj sceny pode drzwiami i doznawała cierpkiego jakiegoś zadowolnienia myśląc, iż będzie zwiastunką bólu, narzędziem Opatrzności. Stała w ogródku, na każdy szelest w ulicy gotowa sama zbliżyć się do furtki.

Około godziny pierwszéj Pilawski nadbiegł, nie znalazłszy odemkniętego wnijścia, zadzwonił. Pani Sciańska z książką w ręku powoli szła już uliczką, aby mu otworzyć. Gabriel miał jeszcze twarz uśmiechniętą nadziejami.

— Dzień dobry pani, a przepraszam!

Sciańska zwolna otwarła i słodziuchno szepnęła:

— Ale nie ma w domu.

— W mieście są?

Wdowa uśmiechnęła się kwaskowato.

— Prawdziwie nie wiem dokąd, wyjechali w nocy, nagle...

Pilawski krzyknął i pobladł.

— W nocy, nagle, ale cóż się stało?

Sciańska z politowaniem nań patrząc milczała.

— Pani nie wie?

— Ja, nie wiem, to jest, nie powinnam wiedzieć.

— Czy wypadek jaki?

— Żadnego.

— Czy przyczyna... czy może to być w jakim związku ze mną, z moją bytnością? zawołał Gabriel, Sciańska bawiła się parasolikiem zafrasowana.

— Proszę pani, racz mi być litościwą, powiedz, jeśli się godzi, błagam.

Zwolna zwiędła twarz Sciańskiéj podniosła się z tym obrachowanym ruchem dramatycznym, który dawniéj w innych wcale scenach, musiał być przez nią używanym i szepnęła:

— Mocno boleję nad losem pana.

Skłoniła się poważnie i powoli odeszła.

Pilawski reszty się domyślił. W czasie burzy, co chwila się spodziewa pioruna, jednak gdy uderzy, musi człowiek zadrżeć. Gabriel zrazu szedł jak pijany, uśmiechając się do siebie ironicznie i powtarzając tylko: to przedziwnie! Tak być było powinno! Ale bo jakże być mogło inaczéj! Wybornie, wyśmienicie... Tak się dobił do hotelu, upakować kazał, i zamiast do Londynu, do Warszawy powrócił.

Przeczytawszy w kurjerku doniesienie o przyjeździe jego, hrabia Ernest, zrazu oczom wierzyć nie chciał, sądził że to jaka omyłka, bo z Londynu tak rychło powrócić nie mógł. Przechodząc wszakże ulicą, wstąpił.

— Co ci się stało, jakim sposobem się tu znalazłeś? zapytał w progu.

— Najnaturalniéj w świecie, uśmiechając się rzekł Pilawski, posłuchaj... Opowiedział mu rzecz całą. Pewny jestem, że mój przyjaciel Lewison, którego już na wyjezdnem spytać o to nie miałem czasu, musiał wszystko wyśpiewać... Panna i dziadek opiekun, znikli mi bez listu, bez pożegnania, a smutne oblicze *dame de compagnie*, mój los mi zwiastowało.

Pilawski śmiał się, ale w śmiechu tym żółć była i gorycz przejmująca. Ernest dłoń jego ścisnął milczący. Tak lepiéj, rzekł, wszystko to wyjdzie ci na dobre... Został ból, ale uciekła nadzieja, a gdzie jéj nie ma tam i miłość długo nie może gościć.

— Powiedzcie raczéj, gdzie jest politowanie nad słabością, miłość ustaje.

— Ale daj pokój, zawołał Ernest, panna miała rozum. Byłbyś nieszczęśliwym, albo byś się sprzeniewierzył swym postanowieniom, albo byś się męczył patrząc na jéj znudzenie, na cierpienie, na wyrywanie się z téj sfery, w któréj by wytrwać nie mogła.

Powtarzam ci, stało się dobrze i powinieneś sobie tego winszować. Zażyłeś heroicznego lekarstwa i wyzdrowiejesz.

Działo się to w r. 1867... W roku 1869 w trybunie Florendzkiéj galerji, stał młody przystojny mężczyzna, na którego ręku sparta była serdecznie uśmiechająca się młodziuchna kobiecina, bardzo miła blondynka, z niebieskiemi oczyma i wyrazem słodyczy a dobroci, który tylko nasze blondynki miewają. Słuchała ona z natężeniem wszystkich władz cichego szeptu, którym towarzysz starał się jéj wytłomaczyć, uprzystępnić, piękność madonny Rafaela. Był to niemal cały wykład teorji sztuki, ujęty w niewielu uczuciem namaszczonych słowach. Kobieta poiła się może zarówno harmonijnym dźwiękiem kochanego głosu i myślami, które z nim płynęły.

— Czyś mnie zrozumiała, Anielko?

— O! doskonale, szepnęła kobieta, ale mów, mów jeszcze, ja cię tak słuchać lubię, ty tak ślicznie mówisz o tych pięknych rzeczach, które po nad ziemię podnoszą. I powiedz mi, wytłomacz, jakim sposobem wśród tych ziemskich goryczy, zawodów, szału, niesmaków i niedoli, wykwitują te myśli, wstają te ideały, rodzą się te cudne posągi, zjawiają te anioły Angelica i te pieśni wieszczów, zkąd oni czerpią barwy, tony i natchnienia?

— Wszystko to, co tworzy sztuka, rzekł mężczyzna, wszystko, co nad-ziemskie jest polotem, jest uniesieniem ku niebiosom, jest ich pragnieniem, objawieniem, obietnicą. Gdyby człowiek był marną błota grudką, skądżeby w niem zrodzić się mogły te perły i brylanty? Jest w nas coś, co dźwiga, unosi i zaręcza, iż śnione na ziemi, wyśni się w niebiosach, mój aniele.

I cicho poczęli szeptać do siebie, uśmiechając się słodko tak, jak się w pierwszych dniach rozkwitnienia szczęśliwa miłość uśmiecha. W tem mężczyzna spojrzał, drgnął i zamilkł. Drzwiami od korytarza wchodziła druga para, do naszéj pierwszéj wcale niepodobna. Mężczyzna młody, ale podobniejszy do fryzjerskiéj lalki, niż do żywéj istoty, i śliczna, wspaniałéj postaci kobieta, dumnego wejrzenia, pańskiego oblicza i ruchu. Mężczyzna wprawdzie podawał jéj rękę, ale miał przy niéj minę lokaja, który na chwilę pozbył się pana i suknie jego włożył. Kobieta była bardzo piękna, na czole rozumnem, w oczach ognistych malowała się dusza o szerokich skrzydłach, ze smutku wejrzenia, z nadskakiwania towarzysza można było odgadnąć, że ten elegant wykrygowany już ją śmiertelnie znudził. Nie słuchała jego szczebiotania, nie przyjmowała usług, jak kulę u ręki, ciągnęła go za sobą.

Wchodząc oboje spostrzegli wprzódy niż *Remouleur'a*, ową parę szczebiotek. Kobieta oblała się karmazynową krasą, mężczyzny twarz zżółkła, zatrzymali się nieco, jakby nie wiedząc, co poczną. Pierwsza para podniosła oczy także, kobieta tylko przelotny rzuciła wzrok, i odwróciła go do męża, mąż widocznie był zdziwiony, uśmiechnął się i spuścił oczy, żywo odzywając się do towarzyszki.

— Na dziś trybuny dosyć, wróćmy na korytarz do matki Boskiéj Angelica i tych muzyków aniołów tak pięknych rzeczy za wiele na raz nie trzeba oglądać, by duszy nie przekarmić. Jutro pójdziemy daléj, ale powoli, powoli.

— O, powoli, powoli, szepnęła Aniela, ażeby ta podróż po światach marzeń sztuki, jak najdłużéj trwać mogła!

Gdy oni wysuwali się powoli, mężczyzna z drugiéj pary, szepnął do swéj pani:

— Chwała Bogu, wyszli.

Kobieta potoczyła wzrokiem ku drzwiom, a w wejrzeniu tem był gniew, wymówka, ból i wzgarda niemal dla towarzysza.

— Dosyć że, sucho śmiejąc się rzekł mężczyzna, losy nam ciągle spotykać się każą. Pan Pilawski jak widzisz ożenił się... ożenił...

— I żonę ma bardzo ładną, dumnie dodała kobieta. Zdaje mi się, że nas nie spostrzegli.

— To jest, miał rozum nas nie widzieć, to było, co się zowie, z taktem, rzekł mężczyzna.

— Pilawski miał zawsze wiele taktu! dorzuciła kobieta.

— Wiem, wiem i wiele innych przymiotów, któ-

remi nademną biednym celował, z pewną wymówką począł mężczyzna.

— Ale bo też ani się was porównywać może, dodała kobieta, spoglądając na pokornego małżonka. Pilawski to natura artystyczna, a ty, mój dobry Stanisławie, jesteś naturą... naturą...

Słowo się nie znalazło i obeszło bez niego, pan Stanisław Greifer z pierwszego przymiotnika był tak zadowolniony, iż drugiego nie wymagał, nie dopominał się nawet o wyjaśnienie westchnienia stłumionego, które się z piersi pani jego wyrwało. Trybuna nie zatrzymała ich długo. Pan Stanisław znajdował, że to oglądanie nużyło niesłychanie, a nie bawiło wcale! Czy pani podzielała to zdanie, powiedzieć nie umiemy, nie zdawała się jednak uwzględniać życzeń męża.

Czytelnik domyślił się, iż w pierwszej parze, szedł Pilawski z młodą żoną, a w drugiej panna Elwira z Domskich, baronowa Greifer, gdyż pan Stanisław o ten tytulik za protekcją jednego z delegatów się postarał. Delegacja, której zadaniem jest, jak się zdaje, wyrabiać koncesje na koleje, przywileje na banki i tytuliki dla przyjaciół, spełniła z łatwością życzenia człowieka, mającego takie zachowanie i stosunki arystokratyczne. Śmiano się z tego baronowstwa po cichu, lecz przyjmowano piękną, utalentowaną, rozumną baronowę w Łańcucie, Krzeszowicach, pod Baranami, pod Kawkami, słowem wszędzie gdziekolwiek zapragnęła, z uwielbieniem i podziwem, że taki klejnot dostał się panu Stanisławowi, który teraz ze złotego młodzieńca, wyszedł przy nim na tombakowego małżonka.

KONIEC.

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dokończenie.)

W kościele urocza Kornelia przystąpiła do ołtarza z wielką odwagą, jak żołnierz idący do szturmu. Loczki jéj trzymały się wyśmienicie, doktór „oddał ją mężowi" z zimną krwią człowieka, który miał czas przygotować się do podobnéj ofiary. Druchny okazywały żywe wzruszenie, a pani Blimber, pewną powagę hamującą objawy uczucia. Powracając z kościoła powiedziała doktorowi świętéj teologji, że wiele cierpi na tem, że nie mogła znać osobiście Cycerona. Dodała nadto, że gdyby nie ta mała okoliczność, uważała by już teraz wszystkie swoje życzenia za spełnione.

Po skończonym obrzędzie, nastąpiło śniadanie, na które poproszono małą liczbę wybranych gości. Przy stole kandydat filologji doszedł do tak wysokiego stopnia ożywienia, że wesołość jego udzieliła się nawet pani Toots, że aż mąż jéj co chwila musiał mówić:

— Moja droga Zuziu, tylko się bardzo nie utrudzaj!

Potem czując się w obowiązku przemówienia przy tak ważnéj okoliczności, wstał z miejsca, nie zważając na znaki jakie mu dawała żona i rzekł:

— Ponieważ w domu tym... jakkolwiek doświadczyłem... o co nikogo nie obwiniam .. pewnego... zamięszania myśli... wszelako doświadczałem także od doktora i jego rodziny wyjątkowéj życzliwości, a nawet... przez długo miałem pulpit osobny.... nie podobna mi zatem... widzieć.... mojego przyjaciela Feedera....

— Żeniącego się — szepnęła mu Zuzia.

—Muszę nadmienić przy téj sposobności... ciągnął daléj Toots rozpromieniony, że żona moja, osoba obdarzona znakomitemi zdolnościami, z pewnością by w tym razie lepiéj ode mnie przemówiła... Niepodobna mi tedy widzieć mojego przyjaciela Feedera, żeniącego się...

— Z panią Blimber — podpowiedziała znowu Zuzia.

— Z panią Feeder, kochanko moja, poprawił ją poufnie Toots... z którą Bóg go złączył, „ażeby... wszakże pamiętacie państwo słowa przysięgi? Otóż niepodobna mi nie wnieść przy téj sposobności... zdrowia nowożeńców, i oby — tu Toots spojrzał na żonę, jakby szukając u niéj szczytnego natchnienia— oby pochodnia hymenu stała się dla nich szczęścia zadatkiem! Oby kwiaty któremi dzisiaj uściełali-śmy im drogę, stały się im kiedyś.. tarczą przeciw nieszczęściu!

Doktór Blimber, mający wielkie upodobanie do przenośni, znalazł tę przemowę wyborną i bez żadnego zarzutu!

— Bardzo dobrze Tootsie! wybornie ci się udało— rzekł przytakując głową przychylnie i klaszcząc w ręce.

Feeder odpowiedział w sposób na wpół żartobliwy, na wpół uczuciowy. Brat jego, doktór świętéj teologji, złożył następnie powinszowanie rodzicom panny młodéj, potem zabrał głos doktór Blimber, i wygłosił obszerny krasomówski utwór w stylu sielankowym. Była tam mowa o zielonych łąkach i gajach, w których zamierzał spędzić z małżonką resztę życia i o pszczołach mających brzęczyć w około skromnéj ich chatki. Wreszcie gdy już oczy Blimbera przymrużać się zaczęły i Feeder nie bardzo wiedząc czem podtrzymać rozmowę, jął się wypytywać pani Toots czy lubiła muzykę, przezorna pani Blimber uczyniła uwagę, że czas trzymał każdego pod swem przemożnem jarzmem i niebawem odprowadziła do czekającego już powozu, ukochaną swą Kornelię wraz z wybranym jéj serca.

Państwo Toots powrócili do hotelu Bedford, gdzie Zuzia nawiasem mówiąc, za pańskich swych czasów kiedyś przebywała. Tam zastali list pocztą miejską przysłany.

— Od kogóż to pismo? spytała z niepokojem.

— Od kapitana Cuttle. Uspokój się, moje kochanie. Donosi nam o bliskim powrocie Waltera i panny Dombey.

— Mężu zawołała Zuzia zrywając się z krzesła, pewno powrócili; czytam to wyraźnie z twojéj twarzy.

— To mi dopiero kobieta! zawołał Toots przejęty najwyższym podziwem. To mi bystrość i rozum! Odgadłaś prawdę, moja duszo; wrócili. Panna Dombey widziała się z ojcem i pogodzili się z sobą.

— Pogodzili się? krzyknęła Zuzia, klaskając w ręce.

— Tylko błagam cię, kochanie moje, nie unoś się. Pamiętaj co powiedział lekarz. Kapitan pisze... to jest, nie pisze wyraźnie, ale, o ile uważam daje do zrozumienia... że panna Dombey zabrała ojca do swego letniego pomieszkania, że tam zapadł w ciężką chorobę i że oboje z Walterem czuwają przy nim dniem i nocą.

Pani Toots zalała się łzami.

— Moja dobra Zuziu, rzekł Toots, zmiłuj się nie zapominaj o sobie, staraj się chociaż słuchać rad lekarza! Jeśli nie możesz... to cóż robić!.. ale staraj się chociaż!

Zuzia, wracając w jednéj chwili do nawyknień dawnych czasów, poczęła błagać męża, żeby ją co prędzéj zawiózł do jéj kochanéj pani, do jéj dzieciny najdroższéj, a prośby jéj były tak usilne, że Toots zachwycony jéj przywiązaniem do Flory, zgodził się z chęcią na jéj życzenie. Postanowili zatem wybrać się zaraz i odpowiedzić osobiście na pismo kapitana.

Po kilku chwilach wiozący ich powóz stanął przede drzwiami domu w którym mieszkali Walter i Flora. Zaledwie próg jego przestąpiła Zuzia, w mgnieniu oka, odkryła małe dziecię leżące w kołysce, wzięła je na ręce i poczęła nucąc usypiać. Flora przy niéj stała i trudno było powiedzieć, kogo Zuzia więcéj pieściła czy dziecię, czy matkę, i czy matka czy ona bardziéj się dzieckiem rozkoszowała.

— Więc twój ojciec bardzo słaby, kochana moja najdroższa pani? spytała Zuzia.

— O bardzo, odpowiedziała Flora. Widzisz Zuziu, dodała, teraz, nie nazywaj mię tak jak dawniéj.. Ale cóż to? zawołała znagła dotykając ze zdziwieniem ubrania Zuzi, — dawne twoje suknie, i czepeczek, i wszystko?

Zuzia na głos się rozpłakała, całując po tysiąc razy drobne rączki, które dotykały jéj sukni.

— Kochana panno Dombey, rzekł Toots zbliżając się, ale w téj chwili Zuzia mu szepnęła: co mówisz? panią Walter powinieneś panią Florą tytułować.

— A tak, a więc pozwól pani Walter, odezwał się na nowo Toots, abym ci to wszystko wytłomaczył. Żona moja nie ma sobie równéj kobiety. Jestto istota co się zowie nadzwyczajna! Zawsze mi powtarzała, że kiedy się po raz pierwszy z panią zobaczy, włoży ubranie które nosiła będąc u niéj w usługach, żeby nie była mniéj od niéj kochaną. I czyż jéj w tych sukniach nie jest prześlicznie? Kochana panno Dombey,... przepraszam, pani Walter, Zuzia, moja ukochana gotowa być znowu u ciebie służącą, niańką, co zechcesz. Moja droga Zuziu, dodał kończąc przemówienie wypowiedziane z wielkim uczuciem, o to cię tylko jedno proszę, abyś się nadto nie unosiła i pamiętała co ci lekarz zalecił.

XVIII.

Przybycie Zuzi było w téj chwili nieocenionem dobrodziejstwem dla Flory; tak ona jak i ojciec jéj potrzebowali jak najbardziéj pomocy owéj nieocenionéj przyjaciołki. Śmierć zdawała się krążyć około łoża Dombeya; był on już zaledwie cieniem samego siebie. Złamany na duchu, wycieńczony na ciele niebezpieczną chorobą, złożył ociężałą głowę na posłaniu, które córka własnemi przygotowała dla niego rękami, i więcéj jéj odtąd nie dźwignął.

Flora czuwała przy nim bez przerwy. Chwilami, poznawał ją, jakkolwiek w zamęcie swych wspomnień, plątał często okoliczności, wśród których sądził że się do niéj odzywa. Czasami zdawało mu się jak gdyby to było zaraz po śmierci syna, i wtedy powiadał jéj, że choć nie wspomniał nigdy o tylu nocach bezsennych, które spędziła przy łóżeczku Pawełka, widywał ją nieraz przy niem. Kiedy to sobie przypominał, chował twarz w dłonie i płakał; potem wyciągnął ku córce wyschłą rękę. Czasem pytał jéj:

— Gdzie Flora?

— Jestem tu ojcze, oto jestem, — odpowiadała.

— Nie poznaję cię! wołał ze łzami, byliśmy tak długo rozłączeni, że już cię poznać nie umiem!

Często wracał także wspomnieniem do dawnych swych zajęć i wtedy pośród obrazów, które mu się nasuwały, Flora gubiła nieraz wątek jego myśli. Czasem, godzinami całemi powtarzał dziecięce Pa-

wełka zapytanie: „Co to znaczy pieniądz?” Rozbierając je, zastanawiając się nad niem i rozumując z sobą samym, wyszukiwał dokładnéj na nie odpowiedzi, tak jak gdyby pytanie to zostało przed chwilą zadanem. W zamyśleniu, powtarzał niekiedy bez końca nazwisko dawnéj swojéj firmy i za każdą razą obracał głowę na poduszce, potem znowu rachował swe dzieci: jedno, dwoje... i stawał, a po chwili na nowo poczynał rachować.

Podobne objawy miewały wszelako miejsce tylko w chwilach gorączkowego obłędu; częściéj daleko Dombey w milczących swych rozmyślaniach, zajmował się wyłącznie córką. Wtedy, jakkolwiek osłabiony na umyśle, zachowywał pewną przytomność. Przypominał sobie ową noc któréj obraz stanął niedawno tak żywo przed jego pamięcią; widział córkę wchodzącą do jego pokoju, i serce jego zapalało się nagłą dla niéj miłością. Zdawało mu się, że idzie za nią żeby ją zawrócić.... Potem, mieszając złą chwilę ze świeższem przypomnieniem owych kroków, których odgłos rozlegał się długo po jego domu, dziwił się nad ich ilością i poczynał je rachować. Wszędzie jednak i zawsze, pośród tych śladów, pyłem i krwią znaczonych, odnajdywał kroki Flory, wyprzedzała go ciągle niespokojna jego wyobraźnia ciągle biegła za nim.

Pewnego dnia Dombey zapytał, czy nie był to głos Zuzi, który słyszał przed chwilą?

— Tak jest, drogi ojcze, odpowiedziała Flora. Czy nie chciałbyś jéj widzieć?

Zgodził się na to z chęcią. Wtedy Zuzia zbliżyła się do łóżka, przejęta żywem wzruszeniem.

Widok jéj zdał się sprawiać Dombeyowi wielką przyjemność. Prosił jéj żeby nie odchodziła, żeby wierzyła, że nie ma do niéj żadnéj urazy i że radby aby w domu pozostała. Dodał, że wszystko już teraz inaczéj, i że on i Flora bardzo są szczęśliwi.

To mówiąc, objął rękami śliczną główkę córki i przyciągnął ją ku swojéj.

Takim pozostał stan jego przez parę miesięcy. Wreszcie, gdy już doszedł do takiego stopnia wyniszczenia, że głos jego był tylko słabym szeptem, a ciało zaledwie cieniem ludzkiéj postaci, gorączka poczęła się uspokajać. Chory doznawał nieokreślonego uczucia rozkoszy, gdy leżąc nieruchomy całemi godzinami, mógł się przypatrywać przez otwarte okno drzew zieloności i płonącym blaskom zachodu. Oczy jego goniły z upodobaniem za obłokami błądzącemi po niebie, lub wpatrywały się z uwagą w płaty cieniu u stóp drzew porozścielane. Wszystko go zajmowało w sposób całkiem nowy, bo świat i życie nowemi dla niego się stały.

Stopniowo, począł coraz bardziéj się niepokoić utrudzeniem Flory, i często szeptał z cicha.

— Pójdź przejść się moje dziecię, odetchnij trochę świeżem powietrzem. Wyjdźcie oboje, z poczciwym twoim mężem.

Będąc sam kiedyś w pokoju z zięciem, przywołał go do siebie i dawszy mu znak aby ucho do ust jego przyłożył, ścisnął go za rękę i powiedział, że jeśli nie wyjdzie z téj choroby, umierać będzie spokojny zostawując córkę jego opiece.

Pewnego wieczoru, Flora siedząc przy nim z mężem, usypiając dziecię które trzymała na ręku, poczęła nucić piosnkę niegdyś od Pawełka ulubioną. Dombey nie mógł znieść owego śpiewu, i drżącą ręką dał znak Florze aby go przerwała. Wszelako nazajutrz, prosił aby to samo znowu zanuciła i w ciągu wieczoru kilkakrotnie powtarzał swą prośbę, a podczas gdy śpiewała, słuchał z odwróconą twarzą.

Razu jednego, Flora siedziała przy oknie z robotą, w towarzystwie wiernéj swéj towarzyszki, czuwając nad uśpionym ojcem. Łagodna cisza wieczoru wprawiła młodą kobietę w spokojną zadumę. Z pośród obrazów przeszłości przesuwających się kolejno przed nią, Florze wsunęło się przypomnienie chwili, w któréj ów ojciec tak zmieniony i bezsilny dzisiaj, przedstawiał ją drugiéj matce. W tem, ręka Waltera oparłszy się na poręczy krzesła, Flory przerwała wątek jéj myśli, budząc ją jakby ze snu.

— Kochanko moja rzekł do niéj, na dole czeka ktoś potrzebujący widzieć się z tobą.

Dostrzegła pewne zakłopotanie na twarzy męża i spytała go czy się co złego nie stało?

— Nie, kochana, nic się nie stało. Widziałem się z przybyłym i mówiłem z nim. Czy pójdziesz ze mną?

Podała mu rękę i poleciwszy ojca opiece Zuzi, zeszła z Walterem na dół.

W ładnym saloniku mającym wyjście na ogród, zastała jakiegoś mężczyznę który widząc ją wchodzącą, pośpieszył na jéj spotkanie. Z powodów wszelako niezależnych od jego woli, zboczył znacznie od zamierzonego kierunku i zamiast pójść ku drzwiom, zaszedł do stołu o który się przezornie oparł.

Flora poznała wtedy w owym gościu kuzyna Feeniksa, którego na razie nie umiała sobie przy wieczornym zmroku przypomnieć. Uprzejmy lord złożył jéj najprzód swe powinszowania z powodu jéj zamęścia.

— Radbym był wcześniéj to uczynić, rzekł siadając ale co prawda, tak wiele przykrych okoliczności stanęło temu na przeszkodzie, że znalazłem się mogę to powiedzieć, w prawdziwie djabelskiem położeniu i dosyć długo nie czułem się zdolny przedstawić się komukolwiek. Przez cały czas ten byłem dla siebie jedynem towarzystwem, co nie chwaląc się, przemawia nieco za umysłowemi zasobami człowieka, umiejącego odpowiedzieć wszelkim towarzyskim wymaganiom.

Pewien odcień zakłopotania tamującego zwykłą swobodę wytwornego obejścia lorda Feeniksa, nasunął Florze domysł, że ważniejsza jakaś przyczyna spowodowała jego odwiedziny.

— Mówiłem już przyjacielowi mojemu panu Gay, jeśli mi wolno go tak nazwać—ciągnął daléj lord Feeniks,—ile się cieszę polepszeniem zdrowia przyjaciela mojego Dombeya. Mam nadzieję, że człowiek taki jak on, potrafi znieść odważnie stratę majątku. Podobnéj straty nie doznałem wprawdzie, bo co prawda nie posiadałem nigdy znaczęgo majątku. Wszelako, co miałem, straciłem,—i nie uważam aby mię to tak bardzo obeszło. Wiem że przyjaciel mój Dombey jest zacnym człowiekiem; musi mu to być nie małą pociechą, że każdy dzieli ze mną to przekonanie. Ludzie najbardziéj wymagający, nawet lord Tommy Serewzer—zdaje mi się, że go zna pan Gay, najzupełniéj się na to zgadzają.

Flora była coraz bardziéj pewną, że coś miało po tym wstępie nastąpić, i czekała tego z niepokojem, wzmagającym się z każdą chwilą. Lord Feeniks mówił daléj, jakby wyczytawszy to uczucie z jéj twarzy.

— Zanim przedstawię pani prośbę z którą tu przyszedłem, powiem, że uzyskałem już na krok ten pozwolenie jéj męża. Przyjaciel mój Gay przyjął mię z przychylnością, któréj dosyć wychwalić nie umiem; sądzę, że i pani okażesz się równie dla mnie łaskawą, zwłaszcza wiedząc iż otrzymałem jego przyzwolenie na krok jaki czynię. Podobnie jak bywało za moich czasów w izbie lordów, gdy członek który z ważnym wnioskiem miał występować, co Bogiem a prawdą rzadko się zdarzało, a to z powodu....

Flora spojrzała na męża z tak żywym wyrazem trwogi, że Walter przerywając przemowę kuzyna Feeniksa, rzekł:

— Nie lękaj się niczego moje kochanie, zapewniam cię, że możesz być o ojca zupełnie spokojną.

— Na honor zaręczam, możesz być pani całkiem spokojną, potwierdził lord Feeniks; jestem mocno strapiony jeśli sprawiłem pani chwilę niepokoju. Łaska o którą chcę prosić, polega po prostu na tem.... doprawdy tak mi się to dziwnem zdaje, że nie wiem od czego rozpocząć.... Oto możeby przyjaciel mój Gay raczył w tym razie za mnie przemówić.

Na to wezwanie, a bardziéj jeszcze na gorącą prośbę jaką wyczytał w oczach żony, Walter odpowiedział niezwłocznie:

— Oto rzecz cała kochana Floro. Lord Feeniks życzy sobie abyś z nim pojechała do Londynu.

— Za pozwoleniem—ze mną i z moim przyjacielem Gayem!... przerwał Feeniks.

— Dla odwiedzenia tam kogoś, dokończył Walter.

— Kogo? spytała Flora, patrząc im obudwu z kolei w oczy.

— Jeśli wolno, prosiłbym o pozwolenie nie odpowiedzenia na to pytanie, odrzekł lord Feeniks.

— A ty, Walterze, czy wiesz kogo?

— Wiem.

— I zgadzasz się na to?

— Zgadzam się, bo jestem pewny, że gdybyś wiedziała o co chodzi, byłabyś tego samego co ja zdania. Z tem wszystkiem, dla pewnych względów lepiéj może będzie nic ci naprzód nie mówić.

— Zostawiłam Zuzię przy ojcu, mogę zatem być o niego spokojną. Jedźmy więc zaraz.

To mówiąc, Flora wstała i prawie już spokojna, a przynajmniéj pełna zaufania w słuszność tego co Walter postanowił, poszła wybierać się w drogę.

Gdy wróciła już gotowa, znalazła męża rozmawiającego z Feeniksem z cicha w sposób poważny, i zapytała siebie ze zdziwieniem, jaki mógł być powód tego ich zbliżenia się z sobą tak szybkiego. Spojrzenie pełne miłości jakiem ją powitał Walter przerywając rozmowę, nie zdziwiło jéj, bo ilekroć oczy jego na niéj się zatrzymywały, zawsze ten sam w nich wyraz napotykała.

— Zostawię bilet wizytowy dla mojego przyjaciela Dombeya, i nie omieszkam wkrótce go znowu odwiedzić, rzekł lord Feeniks; mam nadzieję, że zdrowie wróci mu niebawem. Życzyłbym aby mię uważał zawsze jako szczerego swego wielbiciela, aby wierzył, że w nim widzę zarówno wzór angielskiego przemysłowca, jak wzór angielskiego gentlemana. Willa moja znajduje się co prawda w stanie wielce opłakanym, jeśliby jednak przyjaciel mój Dombey uczuł potrzebę zmiany powietrza, i chciał mi zrobić przyjemność zamieszkania w niéj na czas jakiś, z pewnością znalazłby tam główne warunki potrzebne choremu powracającemu do zdrowia, ciszę i spokój zupełny. Jeszcze jednéj rady pozwolę sobie udzielić: jeśli mój przyjaciel Dombey czuje się mocno osłabionym, niech po prostu każe rozbić żółtko z muszkatołową gałką, i z cukrem w kieliszku xeresu, i niech to wypija co rano przez czas jakiś, jedząc przy tem pieczeń na zimno. Używałem nieraz tego środka z najlepszym skutkiem, w czasach kiedy wynikiem nadto wygodnego życia, szwankowałem nieraz na zdrowiu. Jackson—ten sam, który to miał szkołę boksowania na bont-Streel, człowiek wyższych zdolności, pewnie znany mojemu przyjacielowi Gayowi—mawiał często, że ilekroć miał walczyć o nagrodę, zastępował Xeres rumem, znajdując ostatni środek pewniejszym. W tym razie jednak, ze względu na stan osłabienia mojego. przyjaciela Dombeya, xeres uważam za stosowniejszy

Cały ten ustęp został wypowiedziany przez lorda Feeniksa, z wielkiem przejęciem się ważnością jego treści. Skończywszy mówić, podał ramię Florze, i stoczywszy zwycięzką walkę z niesfornemi nogami, chcącemi zaprowadzić go do ogrodu, zdołał trafić do drzwi, a ztamtąd do czekającego przed domem powozu, którym wszyscy troje odjechali do Londynu.

Zanim przebyli kilkomilową przestrzeń dzielącą ich od celu podróży, mrok już począł zapadać. Zacieśnione uliczki któremi jechali wyglądały posępnie i ciemno. Flora patrzała niespokojnie przed siebie trzymając Waltera za rękę.

Wreszcie na Brook-Strut, koło Grosvenor-Square, powóz się zatrzymał. Flora wyjrzała i poznała dom w którym się odbywało nieszczęsne wesele jéj ojca.

— Walterze, co to znaczy? zawołała, kto tu mieszka?

Za całą odpowiedź mąż dał jéj ręką znak, aby była spokojna. Spojrzała na okna, wszystkie były pozamykane, jak gdyby dom stał pustkami. Kuzyn Feeniks wysiadł tymczasem i podał rękę Florze.

— Walterze, wszakże pójdziesz z nami? rzekła

— Nie, wolę tu czekać na ciebie. Uspokój się kochana Floro, nie masz czego się lękać.

Drzwi otworzyły się z cicha, jakkolwiek nikt do nich nie zastukał. Lord Feeniks podał ramię Florze, weszła z nim drżąca na ciemne schody głównego wejścia, i zatrzymała się ze swym przewodnikiem u drzwi salonu. Lord Feeniks otworzył drzwi nie mówiąc ani słowa, i dał jéj znak aby weszła do niego. Zawahawszy się chwilę, usłuchała.

Koło okna przed stolikiem na którym leżały przybory do pisania i do rysunku, kobieta jakaś siedziała z głową wspartą na ręku, zwrócona ku ostatnim brzaskom zachodu. Flora spojrzała na nią i stanęła z nagła w miejscu, jakby skamieniała.

— Boże wielki! zawołała,—ty tutaj!

Obie nieruchome, patrzały nawzajem na siebie. Wspaniała piękność Edyty jaśniała zawsze całym blaskiem, jakkolwiek żal, rozpacz i duma wyryły już na niéj niezatarte swe piętno. Twarz Flory była taka sama co dawniéj, i pomimo zdziwienia i przestrachu, trwoga i boleść, litość i wdzięczne wspomnienie kolejno ją ożywiały. Milczące i przerażone, stały w miejscu patrząc na siebie przez czarną otchłań niepowrotnéj przeszłości.

W tem z nagła łzy trysły z oczu Flory, i zawołała z głębi rozżalonego serca:

— O matko! matko! dla czegóż nam w taki sposób przychodzi się spotkać?

Dla czegóż byłaś tyle dobrą dla mnie wtedy, gdy nikt o mnie nie dbał, a późniéj.... tak bezlitośna.... tak okrutna...

Edyta stała naprzeciw niéj, milcząca z oczami utkwionemi w jéj niewinnéj twarzy.

— Nie śmiem nad tem zastanawiać się, mówiła dalej Flora; przychodzę od łoża boleści mojego ojca. Jeśli chcesz matko abym go prosiła o przebaczenie dla ciebie, uczynię to; jestem pewna, że je wyjednam. Oby ci Bóg także przebaczył i zesłał pocieszenie!

Edyta nic nie odpowiedziała.

— Walter jest tutaj, dodała nieśmiało Flora, powiem mu, że się zmieniłaś, że żałujesz tego co uczyniłaś, cóż więcéj mogę dla ciebie uczynić?

Edyta przerwała wreszcie milczenie i zwolna, nie poruszając się z miejsca, rzekła:

— Czy może być mi kiedy przebaczoną hańba, jaką splamiłam twoje, twego męża i twego dziecka nazwisko? powiedz Floro, czy być to może kiedy?

— Może, wierzaj temu, bo oboje z Walterem, całem sercem ci przebaczamy!.. Ale dla czego.... dla czego mi nie mówisz.... o moim ojcu? O wierzaj mi, że nie wstręt, ani obawa poniżenia oddaliły mię od ciebie. Kocham mojego ojca, i muszę spełnić moje obowiązki względem niego, a kochającego nie mogę zapomnieć ile dobrą byłaś dla mnie. O matko, zawołała rzucając się z płaczem na szyję Edyty, niech ci Bóg przebaczy całe to nieszczęście, i niech mi przebaczy, jeśli grzeszę pamiętając ile winnam tobie!

Edyta, jakby uginając się pod brzemieniem tego uścisku, upadła na kolana i przycisnęła Florę do serca.

— Droga moja Florciu, zawołała z płaczem, ty mój aniele opiekuńczy! zanim mię obłęd znowu nie pochwyci, zanim mię upór pychy niemą nie uczyni, usłysz mię i wierzaj moim słowom. Na zbawienie ci moje przysięgam, żem niewinna.

— Moja biedna kochana matko! —jakaż to dla mnie pociecha.

— A jednak, jakkolwiek wolna od jednéj winy, ileż innych popełniłam! Ta otchłań która mnie dziś od ciebie dzieli, ta nieprzebyta przestrzeń jaka na resztę dni moich oddala mię od wszystkiego, co tu na ziemi istnieje czystego i szlachetnego, najbardziéj zaś od ciebie.... wszystko to moje własne dzieło: śmierci jednego twego ojca, przed Bogiem ci przysięgam, nie jestem winna. Gdybym w sercu jego dostrzegła choć odrobinkę najmniejszą uczucia, coś prawdziwie ludzkiego. a nie samą pychę i samolubstwo, zostałabym służką jego najpokorniejszą, niewolnicą chylącą się w cześci i pokorze. Floro, ty któréj czyste serce potrafiło uczynić mię lepszą na czas jakiś, nawet taką jak ja kobietę, wierzaj mi, zgrzeszyłam wiele, ale żadnéj zbrodni nie popełniłam. Dla tego, raz jeden jeszcze, raz ostatni w życiu daj mi przytulić twą ukochaną głowę do mego zbolałego serca! Nic w świecie, ani przemoc ani błagania, z wyjątkiem ciebie, nie zdołałyby z ust moich wyrwać jednego słowa usprawiedliwienia. Dla ciebie w inną przemieniam się istotę, sama siebie nie poznaję zapytując nieraz, jestżem Edytą ową dawną Edytą, zlodowaciałą na wszystko, z zamarłem sercem jak u trupa. Tyś to sprawiła moja droga Floro, twoje serce pełne miłości i poświęcenia, a jednak od niego nie mogłaś wyżebrać tego, co ci się z samego prawa natury należało. Liczyłam na zwycięztwo twoje wiele, gdy i to mnie zawiodło, mogłamże dłużéj znosić upokorzenie?

W tem drzwi się otworzyły i ukazała się w nich uśmiechnięta twarz Feeniksa lorda.

—Mam nadzieję, rzekł, że piękna moja kuzynka zechce mi przebaczyć niewinny podstęp, jakiego użyłem aby sprowadzić panią Walter. Mam przytem nadmienić, że w początkach téj nieszczęśliwéj sprawy, nie miałem wyraźnego przekonania co do winy lub niewinności mojéj pięknéj kuzynki—i to nawet mówiłem przyjacielowi mojemu Dombeyowi. Miałem w tym względzie na uwadze, smutny koniec głównego winowajcy, oraz i to że ciotka moja pani Skewton, choć bardzo zkądinąd przyjemna osoba, nie była może matką całkiem wzorową. Wszystko to razem wziąwszy, uznałem za stosowne wybrać się do Francji, dla odszukania pięknéj mojéj kuzynki i dla ofiarowania jéj chociaż takiéj opieki, jaką jest w stanie zapewnić człowiek goniący resztkami majątku. Odpowiedziała, że téj ofiary nie odmawia a to z powodu, że przyznaje jéj niejakie sercowe zalety.

Edyta siedząca z Florą na kanapie, dała w tem miejscu znak swemu kuzynowi, prosząc o zakończenie téj przemowy, ale on nie zważając na to, ciągnął daléj stojąc zawsze we drzwiach i przestępując z nogi na nogę.

— Piękna i urocza moja kuzynka przebaczy mi, jeśli tak z uwagi na nas tu zebranych, jak mając na myśli dobro mojego przyjaciela Dombeya, wypadnie mi dodać jeszcze kilka słów objaśnienia przeznaczonych nadobnéj jego córce. Otóż w pierwszych czasach pobytu mojéj kuzynki tutaj, uważałem za stosowne nie dotykać wcale przedmiotu jéj ucieczki, zostawiając czasowi wyjaśnienie téj tajemnicy. Zresztą, znając stanowczość charakteru mojéj uroczéj kuzynki, nie chciałem drażnić jéj niepotrzebnie. Spostrzegłszy jednak jak żywy jest jéj pociąg ku pani Gay, wpadłem na pomysł ułatwienia jéj z nią spotkania, od którego spodziewałem się najlepszych następstw. W tym celu przed wyjazdem naszym do Włoch, gdzie chcemy stale osiąść, w wyczekiwaniu ostateczněj a mniéj przyjemnéj podróży, zająłem się odszukaniem miejsca pobytu mojego przyjaciela Gaya, i za jego pomocą, udało mi się przywieść żonę jego do tego domu. Teraz więc dodał kuzyn Feeniks ze szczerem wzruszeniem, przebijającem przez plątaninę jego stylu i dziwaczność obejścia, zaklinam krewnę moją, żeby się na wpół drogi nie zatrzymała i naprawiła, o ile to jest w jéj możności złe, jakiego była sprawczynią. Niech to uczyni, nie dla dobréj sławy swojéj, ani dla owych światowych względów, które skutkiem nieszczęśliwych okoliczności, słusznie czy nie słusznie straciły dla niéj wszelką wagę —ale dla tego, że co złe, złem jest, i nigdy dobrem być nie może.

Co rzekłszy, kuzyn Feeniks cofnął się i odszedł, korzystając z chwilowéj dobréj woli nóg swoich. Edyta pozostawszy sama z Florą, siedzącą tuż przy niéj milczała przez chwilę. Potem, wyjąwszy zapieczętowaną paczkę, rzekła cichym głosem:

— Długo z sobą się naradzałam i wahałam się, czy mam lub nie, przygotować to pismo, na wypadek nagłéj lub przypadkowéj śmierci. Wreszcie uległam potrzebie mojéj duszy. Weź tę paczkę Floro; całą prawdę znajdziesz tam spisaną.

— Czy mam ją oddać ojcu? spytała Flora.

— Uczyń jak zechcesz; odrzekła Edyta. Tobie oddaję to pismo, ty jedna mogłaś odemnie je uzyskać *on* nie byłby je nigdy otrzymał, jak przez ciebie.

— Matko, rzekła Flora, ojciec mój stracił cały majątek, ciężka choroba do wrót grobu go przywiodła, czyż więc nic nie każesz mu powiedzieć?

—Powiedz mu, że żałuję iż los zbliżył nas z sobą.

— Czy mogę mu powiedzieć, zapytała znowu Flora, że cię zasmuciły cierpienia jakie przebył.

— Nie! odpowiedziała, cierpienia te były mu szczęściem, skoro go nauczyły kochać córkę. On sam uzna to kiedyś, jeśli z nich miał zaczerpnąć naukę. Powiedz mu jeszcze, że jeśli potrafi pomyśleć o mnie z mniejszą goryczą, wdzięczną mu za to będę; — powiedz że jakkolwiek przestaliśmy żyć nawzajem dla siebie i nie spotkamy się więcéj po téj stronie grobu, serca nasze zeszły się teraz z sobą w jednem uczuciu, w miłości ciebie, droga Floro czego nigdy dotąd nie bywało. Mam też nadzieję, że z czasem coraz lepiéj będziemy sądzili o sobie nawzajem. Im on więcéj będzie kochał ciebie, tem mniéj będzie mnie nie nawidził. Im bardziéj dumnym się stanie z ciebie z wnuków swoich, tym więcéj żalem przejęty, pożałuje przeszłości i mniéj znajdzie we mnie winy. A teraz, ty coś mi najdroższą na świecie, bywaj zdrowa!

Tuląc Florę w swych objęciach, zdawała się w tym uścisku wyczerpywać wszystką miłość, wszystką tkliwość jaką serce kobiece zdolne w sobie pomieścić.

— Ten pocałunek oddaj twemu dziecięciu, mówiła, — a te niech ci będą zadatkiem błogosławieństwa; Florciu moja ukochana, ty mój aniele żegnam cię!

— Ale się zobaczymy kiedyś! zawołała z płaczem Flora.

— Nigdy! nigdy, dziecię moje! Wychodząc z téj posępnéj komnaty, powiedz sobie żeś mię w grobie zostawiła. Pamiętaj tylko, że żyłam kiedyś i żem cię kochałam!...

Flora odeszła, u drzwi czekał na nią lord Feeniks, a w dalszym pokoju zastała Waltera. Oparła płacząc głowę na jego ramieniu.

— Przykro mi djabelnie, rzekł Feeniks zbliżając swe wykarbowane mankietki do oczu, że spotkanie do którego się przyczyniłem wywarło tak silne wra-

żenie na przezacnéj córce mojego przyjaciela Dombeya, a nadobnéj małżonce mojego przyjaciela Gaya. Z tem wszystkiem, żywię niezachwianą nadzieję, że to co uczyniłem, w przyszłości dobrem się okaże. Ubolewam także mocno nad... djabelnemi kłopotami, na jakie naraziło przyjaciela mojego Dombeya połączenie się z naszą rodziną. Co zaś do korzystnego zdania mojéj kuzynki o mnie, to zapewniam nadobną małżonkę mojego przyjaciela Gaya, iż postaram się zasłużyć na nie o ile możności, będąc dla mojéj krewnéj... prawdziwym ojcem. Co się zaś tyczy zmiennych kolei życia ludzkiego i dziwnych spraw w które bywamy nieraz wmięszani, to jedno mogę o tem powiedzieć z moim przyjacielem Szekspirem — który z pewnością znanym jest mojemu przyjacielowi Gayowi — że podobne rzeczy zdają się być sennych widzeń przypomnieniem.

XIX.

Butelka cała osnuta pajęczyną i pobielała od kurzu, wyjrzała wreszcie na świat Boży, i jasny promień słońca padając na wino w niéj zawarte, rzucił na stół złotawe jego odbicie.

To ostatnia butelka madery starego Sola, a przy niéj siedzi on, kapitan i..... Dombey zdrowy na ciele a i w duszy niemniéj, bo kochający i pokorny.

— Masz słuszność, panie Gills, powiada Dombey, wino to równie rzadkiego jak wybornego jest gatunku.

Kapitan Cuttle, promienieje radością, otaczającą jakby aureolą czerwone jego czoło.

— Przyrzekliśmy to sobie oddawna z Nedem, łaskawy panie.... rzecze Gills, że kiedykolwiek wypijemy tę butelkę obchodząc szczęśliwy powrót Waltera. Jeśli więc nie masz nic przeciw temu abyśmy dziś dawny zamiar spełnili, w takim razie wypijemy pierwszy kieliszek za zdrowie Waltera i jego żony.

— Zdrowie Waltera i jego żony, rzekł Dombey; twoje zdrowie droga Florciu!

To mówiąc, pochylił się ku niéj, aby ją uściskać.

— Zdrowie Waltera i jego żony! powtórzył Toots.

— Zdrowie ich obojga i niech żyją! zawołał z zapałem Cuttle, podając kieliszek aby nim trącić o inne.

Dombey dziś już jest starcem, włosy jego całkiem pobielały, a twarz nosi głęboko wyryte piętno przebytych cierpień, ale są to ślady burzy która przeszła i więcéj nie wróci, a za sobą piękny wieczór pozostawiła.

Wyniosłe marzenia pychy nie niepokoją już jego umysłu. Rzadko kiedy opuszcza Florę, tylko zwykłą jego cechą jest milcząca zaduma.

Z ogólnego rozbicia majątku Dombeya, nic nie ocalało. Dochodzi go wszelako, stałemi ratami nadsyłana pewna kwota pieniędzy, z wyraźnem zastrzeżeniem aby nie starał się odkryć jéj źródła. Tak też czyni Dombey, przekonany iż jaki dłużnik zwraca mu tym sposobem swą należność. To ofiara Waltera i Flory dopełniana tajemnie, aby położenie Dombeya mniéj zrobić zależnem.

Po tylu zaszłych zmianach, jakże się miewa drewniany miczman? Stoi zawsze raźno w miejscu, z nogą naprzód wysuniętą, zagłębiony w studjowaniu przejeżdżających dorożek i czupurniéj wyglądający niż kiedykolwiek. Od stóp bowiem do głowy, od ceratowego kapelusza aż do trzewików z klamrami, wylakierowany został na nowo, a po nad głową jego, złotemi literami wypisany świeci napis: *Gills i Cuttle.*

W sklepie miczmana, nie widać większego ruchu jak dawniéj, ale za to po całéj dzielnicy miasta wieść chodzi, że dawne handlowe obroty Gillsa, poczynają obecnie cudownie procentować. Inni kupcy powtarzają po cichu, że grosza przybywa coraz bardziéj u Gillsa i to w sposób bardzo pospieszny. Co pewna, to że kiedy stary Sol stoi na progu swego sklepu, w odwiecznym tabaczkowym fraku, z okularami na czole i z nieomylnym chronometrem w kieszeni, nie wygląda zupełnie na to aby się wielce trapił brakiem kupujących; przeciwnie, na twarzy jego widać wesołość i zadowolenie, jakkolwiek wzrok mu przysłania mgła coraz gęstsza, zowiąca się starością.

Co do wspólnika jego, kapitana Cuttle, ten obmyśla nieustannie nowe obroty handlowe, którémi daleko się więcéj zaprząta niżli istotnemi interesami spółki. Znaczenie miczmana w przemyśle i w żegludze krajowéj, tak mu się zdaje wielkiem, iż jest pewny, iż bez jego współudziału ani jeden okręt nie może wyjść z Londyńskiego portu. Widok własnego nazwiska wypisanego po nad drzwiami sklepu, jest zawsze dla kapitana niewyczerpanem źródłem rozkoszy. Nie ma dnia w którymby po kilkanaście razy nie przeszedł na drugą stronę ulicy, ażeby się nie przyjrzeć szyldowi i nie powiedzieć sobie w duchu:

— Słuchaj no Nedzie, gdyby matka twoja mogła była przewidzieć, że staniesz się kiedyś człowiekiem uczonym, z pewnością poczciwa staruszka z radości byłaby oszalała!

Ale otóż i Toots zbliża się szybkim krokiem do siedziby miczmana, i wbiega do izdebki z twarzą mocno zaczerwienioną.

— Kapitanie Cuttle, woła, panie Gils, mam to szczęście oznajmić wam, że zawdzięczam pani Toots powiększenie mojéj rodziny!

— Zaszczyt to jéj zaprawdę przynosi! odpowiada z zapałem Cuttle.

— Winszuję panu szczerze, kochany panie Toots, mówi stary Sol.

— Dziękuję, bardzo dziękuję—odpowiada krztusząc się zdyszany Toots. Wiedziałem, że miłą wam będzie ta wiadomość, dla tego sam ją przyniosłem. A co? Mamy już Florcię i Zuzię, teraz znowu dziewczynka.

— A więc zdrowie pani Toots, zawołał Salomon z kapitanem.

— Dziękuję serdecznie, odpowiada rozradowany. Ze wszystkich zastanawiających dowodów jakie mi dała znakomitego swego rozumu, żaden nie uderzył mię tyle, jak sposób w jaki umiała pojąć moją cześć dla panny Dombey... która pozostała dla mnie tem samem świetnem zjawiskiem, jakiem była zanim poznałem jéj przywiązanie do Waltera. Z tego powodu, skoro pomiędzy mną i panią Toots przyszło do mówienia o.... o uniesieniach miłości... rozumiesz mię kapitanie?

— Rozumiem mój chłopcze. potwierdził Cuttle. O tych uniesieniach które zawracają nam głowę, jak gdyby w nią stado gawronów wleciało.

— Właśnie, potwierdził Toots bardzo poważnie. Gdy w rozmowach naszych poczęliśmy dotykać podobnych przedmiotów, wyznałem jéj iż byłem, że tak powiem, zwiędłym kwiatem; czy mię rozumiesz kapitanie?

Cuttle objawił znaczącem skinieniem głowy, iż umie cenić wytworność tego porównania, przyczem napomyka, że pomiędzy kwiatami róża zawsze pierwsze trzyma miejsce.

— Ale, jak mi Bóg miły, mówił daléj Toots, ta kobieta lepiéj znała moje uczucia odemnie samego. Była to jedyna osoba mogąca stanąć pomiędzy mną a owym milczącym grobem, który za sobą zostawiłem. Wie ona dobrze, że nikogo nie poważam więcéj w świecie jak pannę Dombey; że w moich oczach jest to najpiękniejsze, najbardziéj anielskie uosobienie kobiety, mimo tego cóż na to powiada? Słowa jéj są najwyższym szczytem zdrowego rozsądku: „Masz słuszność mój drogi, podzielam w zupełności twoje zdanie!”

— I ja także, dodaje kapitan.

— I ja powtarza Gils.

— Przytem, cóż to za zdumiewająca istota ta moja małżonka! mówił daléj Toots z wyrazem najwyższego zadowolenia. Co to za bystrość, co za trafność w spostrzeżeniach! Oto nie daléj jak wczorajszego wieczoru, kiedyśmy się nawzajem cieszyli domowem naszem szczęściem, czyniła mi znakomite uwagi względem obecnego położenia Waltera. „Otóż i powrócił, mówiła, odbywszy ową daleką podróż w towarzystwie żony....” jak to panu wiadomo, panie Sol.

— W istocie, w istocie,—potwierdza starzec, zacierając ręce.

— Otóż i doczekał, mówiła, korzystnéj zmiany w swem położeniu. W miejsce dotychczasowych wędrownych zajęć, otrzymał stałą posadę dowodzącą zaufania jakie w nim pokładają jego zwierzchnicy. Zaufaniu temu potrafi odpowiedzieć, miłość ludzka i własne siły ułatwią mu drogę ku coraz wyższym szczeblom społecznym. Nie zbraknie mu też w danym razie pomocy wuja. Nie prawda, panie Sol? Moja żona nigdy się nie myli.

— W rzeczy saméj.... niektóre okręty naszego stowarzyszenia, któreśmy mieli za zatracone, powróciły naładowane złotem; odezwał się wesoło stary Gills, nie wielkie to rzeczy, panie Toots, ale się zawsze przydadzą mojemu dziecięciu.

— Kubek w kubek to co powiedziała Zuzia, rzecze Toots. Ho! ho! nie złapiesz jéj pan na pomyłce. „Z podobnego tedy położenia, cóż może wyniknąć? zapytała owa rozumna kobieta. Oto — tu proszę cię kapitanie i ty kochany panie Sol, zważajcie na głęboką przenikliwość mojéj małżonki, — oto, powiedziała, pod oczami Dombeya wznosi się podstawa gmachu, który stopniowo dorówna jeśli go nie przewyższy temu, który runął bezpowrotnie, i z czasem z jego córki weźmie źródło (używam ciągle wyrażeń pani Toots) nowa firma Dombey i syn!

Siła przekonania z jakim Toots wypowiedział owo proroctwo, oddziałała tak doraźnie na kapitana, że kapelusz jego ceratowy wyleciał aż pod sufit, i rzekł z zapałem do Gillsa:

—Słuchaj no Solu, mój stary wspólniku, tyś przecie człowiek uczony, a co mówiłem Walterowi owego wieczoru, choć ja tam w książkach nie siedzę? Wracaj do nas Wittingtonem, lordem majorem Londynu, i na tem poprzestań na stare lata. Czy nie tak mówiłem, powiedz Gillsie?

— Słowo w słowo, tak samo, mój poczciwy Nedzie jak dziś to pamiętam.

— A więc kiedy tak, rzecze kapitan, nabierając tchu w piersi jakby w miech kowalski, — to wam zaśpiewam od początku do końca balladę o *pięknéj Dorze.*

Radość więc opromienia starą siedzibę Sola, miłość w niéj słońcem, co zbawczemi promieniami nie pozwala zagnieździć się smutkowi i boleści.

W słoneczne też dni jesieni, widać często po nad brzegiem morza młodą kobietę w towarzystwie sędziwego już człowieka. Tuż przy nich dwoje dzieci się bawi: chłopczyk i dziewczynka a zazwyczaj, stary pies chodzi za niemi.

Podeszły ów jegomość przechadza się z chłopczykiem, rozmawia z nim, nie spuszcza go z oczu i czuwa nad nim, jak gdyby to dziecię było jedynem zajęciem

jego życia. Jeśli ono smutne i on także smutnieje; czasem, kiedy chłopczyk siedząc przy nim, pyta go o coś patrząc mu w oczy, on bierze jego rączkę w swoje i trzymając ją, zapomina dać mu na zapytanie odpowiedź. Wtedy dziecię mu powiada:

— A co dziaduniu, czy ja teraz podobny do mojego małego wujaszka?

— Tak jest, Pawełku. Tylko że on był słabym i wątłym, ty zaś zdrów jesteś i silny.

— O! ja bardzo silny jestem, dziaduniu.

— Biedny twój mały wujaszek leżał w wózku nad morzem, a ty, wszędzie biegać możesz.

Ale jedna tylko Flora zna miarę uczucia, jakiem serce jéj ojca ukochało małą jéj córeczkę. O tem nie mówi on nigdy i z nikim. Samo to dziecię dziwić się nieraz poczyna temu przywiązaniu, przeczuwając w niem jakąś tajemnicę. Dziadek nosi ją nieustannie na ręku, tuli do serca i znieść nie może, aby pozostała przez chwilę sama bez opieki. Czasami wykrada się cichaczem ze swego pokoju w nocy, żeby iść popatrzeć na nią kiedy śpi, i wtedy dopiero gdy go nikt nie widzi, obsypuje ją tysiącem najtkliwszych pocałunków.

Dziewczynka widząc łzy w oczach dziadka co jéj na buzię spływają, zapytuje wtenczas:

— Mój drogi dziaduniu, dla czego ty płaczesz kiedy mię całujesz?

— Kochana moja Florciu! najdroższa Florciu odpowiada Dombey i mówiąc to, odgarnia z łagodną pieszczotą gęste pukle, osłaniające białe czoło dziecięcia.

KONIEC.

WINCENTY POL

JAKO PROZAIK

Studjum K. W. Wójcickiego.

V.

Ściśle z obrazami z życia i natury łączy się: *„Rok myśliwca"*. Jest to drogocenna dla nas księga, bo przechowuje w sobie, ów świat niedawnéj jeszcze przeszłości, który gdzie niegdzie jeszcze ciepłem życia oddycha, w zapadłych zakątkach kraju, gdzie świst lokomotywy niedoleciał dotąd, ani dym parowego kotła, nie zaciemnił czystego lazuru niebios.

Myśliwstwo, było jednem z najważniejszych zajęć starego ziemianina. Zapadłe puszcze, wielkie lasy i cieniste bory, pełne *grubego* zwierza i dzikiego ptastwa — otwierały szerokie pole dlatego, który uganiając się w nich za zdobyczą, hartował własne siły, wprawiał wcześnie oko i rękę do celnego strzału, i obficie zaopatrywał spiżarnię swego dworu, w smaczne zastawy stołowe.

Obok tych korzyści materjalnych, w myślistwie znajdował i rozkosze duchowe, które poezją pełną życia przeplatały mu owe chwile zachwytu, czy to pędził na lotnym biegunie za jeleniem czy łosiem, lub z bijącem sercem przechodził ostrożnie legowiska, albo po trudach łowieckich odpoczywając przy ognisku *w ostępie* puszczowym, pełną piersią, chwytał i oddychał tym balsamicznem powietrzem leśnem, co odżywia siły omdlałe, i daje nieopisane a rozkoszne poczucie całéj pełności życia.

Lesista dawna Polska, wywoływała też mnóstwo łowców, a pociąg do myślistwa był tak powszechnym, że wiele naszych kobiet, chętnie brało udział w téj rozrywce na poły rycerskiéj. Przed dziesięciu niespełna laty, znaliśmy już sędziwe matrony, które pomimo wieku tęskniły za łowami, którym się w młodszych latach z całym zapałem wiosnianego życia oddawały.

Myśliwstwo od wieków, było jedną z głównych potrzeb naszego społeczeństwa: bo przypomnijmy sobie że społeczność ta, w innym jak dzisiaj oddychała świecie.

Mała cząstka jéj tylko, i to nieliczny stan mieszczański, zamieszkiwała miasta, przeważni ogromem swoim lud i szlachta, żyła na wsi, w pośród pól i łąk, nad rzekami i jeziorami, a wszędzie przerosłe borami i lasami, lub w otoczeniu puszcz nieprzejrzanych.

Myślistwo, było więc rzemiosłem ogólnem i wspólnem tak szlachty jak ludu sielskiego, ztąd też wyrobił się i język oddzielny, znany pod nazwą *terminologji łowieckiej*. Tak więc ten język, jak tradycje, zwyczaje i obyczaje dawne, łączące się z życiem myśliwego, odźwierciedla Pol w swoim dziele, i przedstawia w obrazach malowniczych miesiąc za miesiącem.

Na czele każdego poprzedza:
„Zegar niebieski."
I tak zaczyna na Styczeń:

„O nowem lecie na styczniowem niebie,
Mrugają gwiazdy mrozem wyiskrzone,
Gdy lodem ścięte wszystko w koło siebie
Jest jak na święto niebo wystrojone.
Oczy aniołów—tak lud gwiazdy zowie,
Patrzą czuwając i trzymają straże,
I czy się zbłąkasz w stepie, czy w dąbrowie,
To znana gwiazda drogę ci pokaże."

Po czem pod napisem: *„Głosy, widoki natury i polowanie,"* przechodzi do malowania każdego miesiąca. Patrzmy na obrazek *Styczniowy.*

„Całunem śniegu pokryta, odlega ziemia w śnie twardym. Tylko wrone ptastwo kracze na powietrzu, tylko trupem zdradza się zwierz. Noc długa a o żer nie łatwo: dzień zdradza, bo na śniegu wszystko już widne, z daleka więc co lotne i bezpieczne, zbliża się do mieszkań ludzkich we dnie, a zwierz szoruje długiemi nocami po sniegu, tropi słabszego, lub rozgrzewa się biegiem na mrozie.

„Kościelne kawki trzymają się wież i hałaszą i trwożą się gromadnie, gdy się na zimową zanosi burzę. Dachy miejskie, strzechy po siołach i stare lipy i grusze, osiadają wrony i żywią się po targach, gnoiskach i śmieciskach, tak na wsi jak w miescie: z nad sadu lub płotu skrzeczy pojedynczo wesoła i fertyczna sroczka, tak oswojona z całą sprawą domu, że się ani drobiowi, ani psu domowemu nie chce umknąć z pola i że się ledwo z pod nogi człowieka podrywa."

„Za miastem lub wioską zbierają się kruki przy padle, i teraz, choć nie tyle co latem strożliwe; przy nich znajdzie się czasem stado gawronów które się od wielkiéj odbiły gromady i zimując z nami, trzymają się naprzemian kruków albo wron.

„Na te pobojowiska ściągają się psy pod wieczór, a nocą lisy niekiedy: na trwogę zaś szczekają czasami przez noc całą ku stronie padła zwrócone psy wioskowe, czując tam wilka.

„Z drapieżnych ptaków sokolego lotu, rzadko i na krótko tylko pojawi się jaki, spadając z góry na kuropatwy, które się w trwożliwem stadku tulą pod zaspami śniegu, lub pod obrosłą zboczę przypadły, albo biją na gołębniki i na drób w obejściach, nagle i znienacka. Domowe wrony są tu w przymierzu z gościnnem dla nich obejściem, bo ledwo że się dokoła gołębnika zawichrzy stado gołębi, ledwo że drób narobi hałasu w dziedzińcu, a już przybywają wrony na odsiecz, biją na psotnika, wrzawnie zwołują się z całéj okolicy, zabiegają mu zewsząd drogę, usiłują się w górę wynieść nad niego i dziwne zuchwałe i obrotne są w tym razie. Takie polowania wron na raroga, ożywiają zimowy krajobraz, kiedy jasnemi nocami cichaczem pomyka zajączek, i drobi i kółkuje, i kluczy, i zrzuca, odsadza się od miejsca i do miejsca wraca, wiecznie strwożony i wiecznie obrotny, ufając tylko w zadnie skoki swoje. To też jak wrzask i skrzek kruczego ptastwa jest w styczniu prawie jedynym głosem natury, tak z tropem zajęczym spotyka się wszędy oko, koło sadyb tuż za płotami, na zagumienkach, po sadach i ogrodach, kapuśnikach, w szkółkach drzew owocowych, na cmentarzach wsiowych, i przy zielonych oparzeliskach stoku lub krynicy.

„W ślad zajęczych tropów, idą sznurem lisie, ale lis przerzyna klucze w poprzek, albo pod trop idzie, aż dojdzie zająca, więc na śniegu pozostaje wierna karta zajęczéj i lisiéj strategji. Nie żal wsiąść w sanie i wyruszyć w pole: i Styczeń ma swe wdzięki, a ta świeżość i plątanina tropów, ma tak coś dziwnie uroczego i zajmującego w sobie, przy téj ciszy i tajemniczości zimowych widoków, że kiedy koń i człowiek syty i pokryty, a dobra smycz chartów w saniach, to i miło jest wyruszyć jednokonną w pole i opędzić kraniec lasu. Miło jest także przejechać i knieje, a wprawne oko myśliwego dośledzi tu, w którym kierunku *Ryś* z drzewa na drzewo skacząc, potrząsał okiść z konarów na ziemię. Bojąc się spuścić na dół dla zwalistych śniegów, przysiada w dziuple i czatuje na sarnę, która się z trudnością przebija przez śniegi w zwartych lasach równo leżące.

„Na ostatnich płotach wioski pozostają gromady wróbli, żyjące teraz w stodołach i pod ciepłemi strzechami, w opuszczonych gniazdach jaskółczych: tylko stado trznadli, wymyka się w dzień pogodny za wioskę, ulata w lekkich podrywach wzdłuż drogi, i przypada często całem stadem do ziemi, szukając czegoś w zimowym naboju po drodze, zaświegoce i uchodzi daléj przodując przed sańmi.

„W lesie cicho i uroczo. Równiéj tu upadł śnieg, i znaczniejszy trop grubego zwierza, który zamieć w czystym polu co chwila zawiewa. Słychać tylko kucie *dzięcioła* lub *kowala*, czasem zaskrzeczy *sójka* lub poderwą się *jemiołuchy* ze starego drzewa, które jemioła obsiadła, lub z jałowców które krańcem lasów knieje podszyły."

Podajemy tu dłuższy ustęp ażeby czytelnik nabrał wyobrażenia, w jak malowniczy sposób Pol podaje miesiąc po miesiącu myśliwca, i stawia nam żywo z całem urokiem poetycznym tę porę zimową, która jest w naszym klimacie, ma właściwe dla siebie powaby, a dla łowca obszerne do zajęcia otwiera pole.

W Wigilją Bożego Narodzenia, w wigilją Nowego Roku i do Trzech króli, ostatnie wielkie trzy polowania, a na Trzech królach, kończą się królewskie łowy na grubego zwierza.

W Lutym myśliwy może spoczywać, w Marcu już na wodne ptastwo rozpoczyna wycieczki: do świtu wyprawia się po głusze i jarząbki, do lasów zacisznych; w ciepłe wieczory zaś czatuje po polanach leśnych na ciąg Słomek, a chrzypienie lecącéj słomki, to już prawdziwy głos wiosny!

Po łowach na ptastwo wodne i w Kwietniu z końcem tego miesiąca, powinien myśliwy zawiesić strzelbę na kołku: niemoże bić grubą zwierzynę i ptastwo; bo „każda ptaszka (jak Pol wyraża) kwili na gniazdeczko, szuka pary, ściele gniazdo, niesie jaja lub siedzi już na nich, a kuropatwa wywiodła już kurczęta."

Zielony *maj*, to miesiąc rolnika, a nie myśliwego, wszystko żyje rozkoszą słońca i wiosennego powietrza oddechem, które potęgą płodnych grzmotów i błyskawic oczyszczone, ciepłemi odkropione deszczami, odzyskało swą wonną sprężystość i moc ożywczą. Król śpiewaków wiosennych *słowik*, zawodzi dla rozkoszy duszy człowieczéj swe czarowne pieśni, to też lud nasz w odwdzięczeniu za tę rozkosz duchową, w przysłowiu daje swéj dziatwie przestrogę że:

„*Kto zabije słowika, zasmuci anioła*".

W maju jak Pol wyraża:

„Jest to przymierza chwila i pokoju!" *Czerwiec*, zwany miesiącem „*ciepłej rosy*". dla łowca, nie daje pola, a za to krajowi od Tatr grozi wylewem Wisły. Przybór ten wody, znany pod nazwą *Świętojanki*, nieraz przybiera ogromne rozmiary strasznéj powodzi! Ognie *Sobótek*, z puszczanemi wiankami na bieżącą wodę, przywiązane do tego miesiąca, a zarazem słowik umilka, bo wedle wioskowéj przypowieści·

„*Na Święty—Wit, słowik cyt!*"

W lipcu już dla myśliwca zaczyna się większa praca: zaczynają się łowy na przepiórki w polu, a na błotach na bekasy, derkacze, żurawie i czaple; od świętéj Anny, na *dubelty*, których się ciąg w tym czasie poczyna.

Dziki rolnikowi dają się we znaki przez liczne szkody w zasianych polach, to też w niektórych okolicach polują na nie „*z ognistą obławą*" czyli z płonącemi wiciami, i snopami na tykach.

Niedźwiedź poczyna wychodzić nocą na polany leśne owsem zasiane, zbiera w snop na pniu stojący owies i wysysa z niego mleczko, a w noc wraca do téj saméj polany, dopóki całego nie wytłucze owsa. Jest to chwila dogodna dla łowcy do sprzątnięcia tego szkodnika z zasadzki dobrze obmyślonéj, zarówno jak niedźwiedzicy, dla schwytania małych niedźwiadków.

Gdzie wiele zwierzyny dobra pora na jelenia i kozła, na daniela i łosia, bo już dobra skóra i mięso.

Gdy sierp zadzwoni w *sierpniu* przy żniwach, łowiec już na ptastwo polne, i zające po rżyskach myszkuje z wyżłem ułożonym,—powoli krajobraz zmienia swoje oblicze, bo przestają fasować kłosy na niwach, a w ich miejsce wznoszą się *mendle* ze snopami zboża. Już się też zaczyna i siew pierwszy oziminy na św. Bartłomieja.

„Wrzesień to jesień". W polach coraz widniéj, po świecie coraz chłodniéj. Świergot w gromady zbitego ptastwa, ryk bydła i rżenie koni od błonia i rzeki, oto głosy natury na wrzesień. W szyszkowych lasach, poczyna się jednostajny szum przeciągłego jesiennego wiatru, a w stepach na jeziorach i stawach w dniu chłodnym słychać już poświst suchych oczeretów. Wrone ptastwo w gromady zbite, zmienia w tym czasie stanowisko i noclegi swoje, przybliżając się zwolna do mieszkań ludzkich, obsiada hałaśliwie stare drzewa po miedzach lub małe przylaski.

„W naturze jak w dziejach (mówi Pol). Kiedy się świat zamai i zarani liściem i zbożami, to wszystko przysłonione i urocze, a kiedy widno to i chłodno".

Lato nieprzechodzi u nas zwolna ku jesieni, ale to charakteryzują, nawalne piorunowe burze, które zwykle pod koniec żniw przypadają. Nie jest to wyjątkowe ani przypadkowe zjawisko, kiedy aż osobne nazwisko tym piorunowym burzom lud nadał, nazywając je: „Palikopy."

Wczoraj jeszcze było skwarne lato i gorące żniwo: z północy nadciągnęły gromowe chmury, i po burzy dziś czuje już każdy, że nastała jesień, bo okna spotniały, bo się wszyscy kupią przy kominku, a w polach wznoszą się słupy białych dymów, i świecą wieczorem coraz gorętsze polne ognie.

Myśliwy czeka jesiennéj rosy i chłodnego tropu. Burza, która się nawalnemi deszczami i gromami wylewa na równinach, w wysokich górach spada już pierwszym śniegiem, i oziębia na kilkadziesiąt mil okolice górom przyległe, a czy z południa, czy z północy wiatr pociągnie, to ciągnie nisko po nad ziemią, i czuć już w nim chłód jesienny.

Pol, jak prawdziwy poeta, zachwycony urokiem téj czarownéj pory roku, poświęca jéj prześliczny następny ustęp:

„O jesieni złota nasza!
Tyś jak darów Boża czasza,
Dziwnie mądra, pełna cześci,
I kojącéj pełna treści.

W pożegnanie grają lasy
Barw tysiącem, pełnych krasy,
Miedzią, złotem, i rubinem,
I szmaragdem i bursztynem,
Na jesieni, świat się mieni
I w dobrane gra kolory,
Pajęczyny srebrem dziany,
Jak kobierzec różnowzory,
Na dzień wielki rozesłany.

Mgła poranna, co nie rada
Wdzięk odsłonić naraz oku,
To się wznosi, to opada,
I uroczy świat w tym mroku,
Co się dzieli na obrazy,
W plątaninie tęcz i gazy,
Jak czarowna niby wstęga,
Co tę ziemię z niebem sprzęga,
Z srebrnéj gazy, z tęczy wątku,
I bez końca, bez początku
Płynie, sunie i przegania,
I otula i odsłania
Wdzięki ledwo sercu znane;
A tak pięknie zasromane!
Aż gdy cicho złote słońce,
Z dobrą wieścią wyszle gońce,
Mgła uchodzi wielkim zwojem,
I po czarach łzy się żalą.
Za wzgórkami gdzieś niebiosa
Jarząbatą płyną falą:
W blasku słońca perli rosa,
A świat strojny wielkim strojem,
Jak matrona się uśmiecha,
I w milczeniu znów oddycha,
I powagą i pokojem.

Złote słońce i ścierń złota,
Nigdzie głosu, nikt nie śpiewa,
A po duszy się rozlewa
Jakiś smętek czy tęsknota!

Odleciały już bociany,
Polskiéj strzechy gospodarze;
Już i żóraw rzuca straże,
W *klucz* powietrzny zawiązany;
I już tylko od jeziora
Słychać jeszcze wrzask kaczora:
Lub szum długi, gdy gromada
Już wędrownych gęsi spada.

Jesień polska, to matrona;
Przysporzyła i oddaje,
A co wyszło z serca, z łona,
Ukojone całe staje.
A ta srebrna pól tkanina,
Ta jesienna pajęczyna,
Owo rąbek wielkiéj pani,
Który ziemia niesie w dani.
Cicho, chłodno, jakoś smętno,
Czule, rzewnie i pamiętno:
Bo wianuszki dawno zwite,
Wielkie prace odprawione,
Wielkie burze już przebyte,
Wielkie bóle ukojone.
A więc słońce złotem ciska,
A złociste łanów ściernie
Srebrną gazą się połyska,
I przyświadcza temu wiernie,
W wielkiéj ciszy, w wielkiéj wierze,
Niebo, ziemia, człek i zwierze."

Teraz pora dla myśliwca z chartami: tu Pol, na cześć tych łowów poświęca pieśń tak dziarską tak pełną życia, że znać w niéj, że poeta na dzielnym biegunie i z rączemi chartami, używał téj rozkoszy jaką daje polowanie na równinie bez strzelby z chartami.

Głucha jesień w Październiku, zapowiada światu zimę — a myśliwego wzywa ciągle do kniei. W Listopadzie po stołach jesiennych już człowiek pragnie śniegu i mrozu, bo przenosi je nad dnie flażyste i mgłą mokrą przesnute. Od św. Huberta patrona myśliwych rozpoczynają się pierwsze łowy na ponowie, czyli po śniegu, bo już zwykle, białym całunem zimowym pokrywa się Boża ziemia.

W grudniu już zima utwierdza swe panowanie. „Ma ona swoje piękności dla synów téj ziemi (pisze Pol) nieocenione dotąd dostatecznie, lecz uczute przez każdego, co się głosom natury przysłuchiwał, i rozpatrywał w widokach téj ziemi.

„Cóż tedy będzie głosem natury na Grudzień? Skrzeczenie domowéj sroczki z nad płota, złowrogi wrzask wron, pod których skrzydłami śnieg w kulkach oblatuje z dachu, i świergotanie gromady wróbli domowych, które się w świeżym śniegu kąpią: widokiem zaś natury na Grudzień, jest świąteczna białość śnieżnego całunu, mroźne opuszenie krzewów, i drzew długiemi kryształami owianych, kwiaty mroźne na szybach okien, naśladujące wszelkie typy roślinne, i szron mroźny iskrzący się złotem ku jasnemu słońcu.

„Czerwono i złocisto wznoszą się słupy dymów z białych kominów prosto w górę, i widok tych ognisk domowych, tych świateł wieczornych i doświtnych po chatach i dworach, świadczy tylko, że pod strzechą ciepło, i że się pod nią przytulili ludzie, za nim jeszcze ptak, zwierz i człowiek z miejsca ruszył po zwalistym śniegu, i trop poznaczył lub ślad przetorował."

Na tym miesiącu zakończa Pol, swój *Rok myśliwca.*

Utwór ten poprzednio częściami był drukowany w *Tygodniku illustrowanym*, z rycinami Juljusza Kossaka. Lepszego illustratora do przedmiotów krajowych, nie mieliśmy i nie mamy. Pol też zna całą wartość talentu tego znakomitego artysty, owo w nim wszechstronne poczucie każdego utworu, w którym gra życie swojskie, i najwyższa zdolność nie tylko oddania poety myśli i słowa potęgą ołówka, ale nieraz dodania i dopowiedzenia nim słówka które obraz podnosi i uwydatnia więcéj.

„*Rok myśliwca*" w oddzielnem dziele a w przepysznéj edycji wydał swoim nakładem J. K. Żupański w Dreznie w drukarni J. I. Kraszewskiego 1870 roku, (w wielkiéj czwórce.—) Też same illustracje I. Kossaka są dodane w tem wydaniu.

Teraz razem rozpatrując te rysunki przy odczytywaniu tekstu Pola, możemy ocenić całą ich wartość. Dopowiada on wybornie (jak mówiliśmy powyżéj) wiele szczegółów, a uplastycznia nam obrazy poetyczne Pola.

Rok myśliwca, jest księgą w pomyśle i wykonaniu tak oryginalną, i tak po mistrzowsku skreśloną,

że pozostanie wieczystym pomnikiem w literaturze naszéj. Pol, jeżeli w niéj miał na głównéj myśli łowiectwo i myśliwca —jedno i drugie kładzie na tle Bożego świata, jak wygląda w każdym miesiącu roku.

Takie tło właśnie—ten peizaż natury, i ruch żyjących stworzeń na polach, w lesie i w wodzie—ich odzywy—i to co sam nazywa „*oddechem natury*" są tak pochwycone w najdrobniejszych nawet odcieniach, że czytelnika wiedzie za sobą ponętnie, a coraz nowym urokiem wabi, w ten świat który jak czarodziéj, potęgą słowa w całéj prawdzie i wiernym malowidle stwarza.

Krok w krok za autorem postępując, przechodzimy miesiąc po miesiącu, pory roku, a w obrazku każdego widzimy jak zamarła natura zaczyna się ożywiać z wiosną—rozwijać w lecie i pierwszéj jesieni, a następnie przechodzi w mroźną zimę.

Poeta w każdym tak dobiera barw właściwych, tak umie chwytać na gorąco każdy wydatniejszy szczegół, że tworzy z tego taką całość iż czytelnik jak otumaniony, to oddycha ciepłem wiosny, to czuje skwar letni, albo powiew wichury grubéj jesieni, albo zamieć śniegową. I zarazem widzi lotne ptastwo—to napełniające świat śpiewem lub wrzawą, to zbijające w kupy około domostwa wiejskiego, to odlatujące w dalekie zamorza—jak zarazem patrzy na wszystkie rodzaje dzikiego zwierza zwyczajne w naszym klimacie, a pożądliwy łup dla myśliwca.

Rok myśliwca, jest dopełnieniem *obrazów z życia i natury*, o których już obszernie mówiliśmy.

VI.

W roku 1864 zapowiedział Pol, sześć prelekcji o *muzyce kościelnéj* we Lwowie: były to zarazem wieczory muzykalne, urządzone przez *Karola Mikulego*, Dyrektora Galicyjskiego Towarzystwa muzycznego w Radnéj sali miasta Lwowa.

Było to nowe zupełnie i nieznane widowisko: łączyło bowiem w sobie, wymowny wykład sędziwego poety — wraz z orkiestrą i chórami, które w miarę jak prelegent rozwijał wiekami, rozwój muzyki kościelnéj, wykonywały znakomitsze utwory wskazane przez niego.

Jak na pierwszym wieczorze, usłyszano odśpiewawaną pieśń *Boga-Rodzicy* i dwa *Hajnały* odegrane na trąbkach na cześć Matki Boskiej: *Miserere* Wielkopiątkowe Syxtyńskiéj kaplicy, przez chór sześćdziesięciu męzkich i żeńskich głosów *Allegrego*, a w końcu *Lisseringa*, kompozycje: „*O filli et filiae.*" i „*Alleluja*," wykonane przez chór wokalny.

Na drugim, śpiewano *144 psalm Dawida*, z całą prostotą i pierwotnością, jak był przed kilku tysiącami lat śpiewany, następnie usłyszano: *Hymn Machabeuszów*, *Lament Jeremiasza* nad zburzeniem Jerozolimy daléj: *Wigilią* śpiewaną przed dniem *oczyszczenia i pojednania*, a w końcu *Chór* z czasów kościelnego *kontrapunktu*, aby dać wyobrażenie, jak święta Liryka kościelna, w wyższych kompozycjach swoich, pojęła *psalmodje* hebrajskie.

W trzeciéj prelekcji, gdy mówił Pol o *Chorałach*, Ormiańskim, Ambrozjańskim, Gregorjańskim i Cerkiewnym, zaraz po ukończeniu wykładu, zebrani usłyszeli zaraz wyjątki z pojedynczych chorałów, a mianowicie: z chorału *Ambrozjańskiego*, który ma cechę wielkiéj starożytności. Potem wyjątek z chorału *Gregorjańskiego*, daléj pieśń świętego Wojciecha o *Zbawicielu Panu*, i pieśń powszechnie na Rusi czerwonéj śpiewaną:

„*Preczystaja diwo Maty ruskoho kraju.*"

Wkońcu zaś pieśni o Trójcy przenajświętszéj *della Trinita*, znalezioną w najnowszych czasach w starych archiwach Florentskich, którą znawcy do czwartego lub piątego wieku odnoszą, i w któréj wszystko za wielką jéj starożytnością przemawia.

Teraz muzyce kościelnéj przychodzi w pomoc wynalazek organów. Na czwartym wieczorze przeto, odegrano kompozycje *Clauda Merula Flesobaldiego i Bacha* — wyłącznie dla organów napisane: oraz *Improperja* utworu *Palestryny* z roku 1548, dawszy poznać utwory poprzednie już idące od roku 1360.

Na końcu wykonano pieśń:

„*Wesoły nam dzień nastał*".

sharmonizowaną przez Stanisława Moniuszkę.

Był to ostatni tydzień Stycznia 1865 roku, i właśnie twórca *Halki*, *Hrabiny*, *Strasznego Dworu*, i tylu innych utworów znajdował się na tem zebraniu. Pol, skorzystał z téj dobréj sposobności dla uczczenia naszego mistrza: to też wspominając o ostatniéj pieśni, zaraz dodał:

„Kompozycja ta nabiera dla nas dzisiaj większego znaczenia, że mamy pośród nas naszego jenialnego rodaka. Niech mi tedy będzie wolno powitać go z tego miejsca, w imieniu *Towarzystwa muzycznego* w którego służbie tu stoimy. Witam cię całem sercem (zgromadzenie powitało trzykrotnemi oklaskami Moniuszkę) całem sercem mówię, wszakże więcéj niż słowami cię powitać zdołam, niech cię powita duch Palestryny!"

Prelekcja piąta obejmuje wiek XV i XVI. Włochy *Palestrynę* wydały!

„Palestryna (mówi Pol) jest tem wśród kompozytorów XVI wieku czem Rafael w malarstwie: on bowiem stał się założycielem nowéj muzycznéj kompozycji, fundatorem rzymskiéj szkoły i muzyki figuryczńéj, która od niego odtąd nazwisko wzięła". (*)

Tu zacytowawszy tylko jedno dzieło Palestryny, które nietylko w jego życiu ale w muzyce kościelnéj epokę stanowi: „*Missa Papae Marcelli*" ogłoszone w roku 1565, dodaje:

„Czem Michał Anioł stał się dla Architektury nowożytnéj, wznosząc na zrębie greckiéj świątyni gmach i sklepienie Panteonu Rzymskiego i sumując w ten sposób, największe dwa dzieła architektoniczne starożytności, w pojęciu chrześcijańskiego ducha, jako typ nowy, tem się stał Palestryna w téj kompozycji, godząc pierwotną religijną melodję, z chórem harmonji chrześcijańskiéj i sformułował nowy typ o sferze kompozycji muzycznéj."

(*) *Giovanni Perliugi de Pelestrina*, urodził się w miasteczku tegoż nazwiska w roku 1524. Przybył już w szesnastym roku życia do Rzymu i kształcił się w szkole sławnego podówczas mistrza *Claudiusza Goudimel* w muzyce, a został już w roku 1551, dyrektorem chóru młodzianków, przy S. Piotrze w Watykanie, następnie dyrektorem muzyki w Bazylice Lateraneńskiéj, przez lat sześć, późniéj w Bazylice Najświętszéj Panny Maryi większéj, przez lat dziesięć na téj saméj posadzie. Z każdym rokiem rozrastał się jego twórczy geniusz, który na siebie zwrócił oczy nie tylko Rzymu, ale całego wówczas katolickiego świata, który przyjął figuryczną muzykę kościelnego kontrapunktu w całych Włoszech, w Niemczech, we Francji, w Belgii i w Polsce.

Palestryna znalazł takie uznanie i uczczenie za życia jakie nie wielu tylu artystów spotkało. Papież Pius IV mianował go dyrektorem muzyki w kaplicy swojéj, z osobnym tytułem: *il Compositore*. Zaszczyt ten spotkał jeszcze tylko jednego z wielkich muzyków po Palestrynie t. j. *Felice Anerio*. W roku 1571 objął Palestryna powtórnie dyrekcję muzuki przy Św. Piotrze w Watykanie, równie jak prowadzenie *oratorjów*, zaprowadzonych przez św. Filipa Nereusza. Następnie w roku 1576, otrzymał wezwanie od papieża Grzegorza XIII; do przejrzenia i zregulowania Gregoryańskiego chorału, któréj pracy wszakże całkowicie nie dokonał. Umarł na początku roku 1549, pochowany w kościele Św. Piotra w Rzymie.

Wspomina o współczesnym Palestrynie *Orlando de Lasso*, którego utwory: „są w muzyce wyrazem świętéj liryki powszechnego kościoła, wyrazem powszechnego języka ludzkości, który mógł wyjść tylko z powszechnego kościoła".

Przytoczywszy znakomitych następców obu pomienionych kompozytorów, przychodzi do chwili gdzie z XVI wiekiem, muzyka kontrapunktu czyli figuryczna zostaje wprowadzona do Polski.

Od pieśni *Boga rodzica* zacząwszy wylicza Pol, zabytki dawnych pieśni pobożnych, wprowadzenie *Chorału Gregorjańskiego*, i stanowczy krok do wprowadzenia kościelnego kontrapunktu, czyli muzyki figurycznéj, jaki zrobił u nas sławny *Grzegórz z Sanoka*.

W téj prelekcji przechodzi pokrótce historję muzyki kościelnéj w Polsce, aż do ostatnich lat XVIII wieku, a w końcu usłyszało zebranie najprzód *Palestryny*: „*adoramus*" a następnie śpiewy Wielkotygodniowe katedry Krakowskiéj, i psalm *Gomółki*.

Szósty i ostatni wieczór, poświęcony był wykładowi pieśni religijnych, znanych i powszechnie przez cały naród śpiewanych w różnych dniach świąt i uroczystości.

W śpiewniku, który ksiądz *Mioduszewski* wydał jest ich zbiór do 500 wynoszący, a w nim znajdują się niewątpliwie zabytki od XIII wieku. Ale je dotychczas krytyka od daleko późniejszych jeszcze nieoddzieliła. Jak przedmiot ten traktuje Pol, tak napozór suchy, przywiedziemy jeden tylko ustęp z téj prelekcji, w którym mówi o pieśniach nabożnych pomiędzy ludem upowszechnionych.

„Każdy rodzaj tych pieśni (mówi poeta) ma swój oddzielny charakter, a szczególnie niektóre z nich, mają charakter tak wybitny, że już sama nuta wystarcza na oznaczenie dorocznéj pory. I tak, w *adwentowych* pieśniach, wyraża się owo wielkie przeczucie i pragnienie, jakie całą ludzkość poruszało przed przyjściem Zbawiciela pana, na świat. Jakoż te poranne nabożeństwa *roratkie*, to gromadzenie się po kościołach przed świtem wczasie zimy, — te tysiące drobnych światełek po kościele, kiedy ciemność olbrzymich sklepień bez gwiazdy i światła, zdaje się wyrażać owo zwątpienie, jakie pisał ogarnęło przed przyjściem Zbawiciela, gotujący się w niepewność na godne przyjęcie rzeczy przepowiedzianych przez prororoków, które ziścić się miały w dopełnieniu czasów — owe tęskne wyczekiwanie, jest tedy charakterem tych pieśni. Ów śpiew *adwentowy*, wyraża rzecz tak dokładnie, że gdyby nawet nieznać pory dorocznéj, to wstąpiwszy na nabożeństwo, można się już jéj domyślać.

„Zupełnie inny charaktrer mają pieśni *Bożego Narodzenia*: one są u nas najbardziéj upowszechnione: jest to sielanka Boża, którą poezja narodowa, osypała kwiatami Ducha Świętego.

„Nic nie zdaje się bardziéj zajmującem jak to, że właśnie młodzież, w każdym pokoleniu, przechowuje w swojéj pamięci i w swoim sercu te pieśni. Nie może ich oddzielić od figurycznych przedstawień szopki, żłobka i gwiazdki, bo rzeczywiście w nich przebija się już charakter muzyki dramatycznéj, i one dały początek djalogom duchownym. Pora też roku dziwnie sprzyja tym pieśniom. Dzień krótki i zawieje, wszystko się garnie do domu, do dworu i chaty gromadzą się ludzie w miłości, zjeżdżają się na te święta, i wszyscy szukają owego wieczora, który poprzedza noc: „*Narodzenia Pańskiego*".

(d. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 12.

N. 27—28. Dwie kokardy do kołnierzyków.

N. 27. Kokarda z jedwabnego rypsu i aksamitu.

Dwa zręczne upięcia składają się z dwóch skosów 13 7 cent. szerokich, z dwóch kolorów w jednakowym cieniu. Szerszy skos jedwabny rypsowy 60 cent. długi jaśniejszego koloru, obrębia się w koło niewidocznemi ściegami, i z niego układa się podług wzoru dwa pukle i dwa końce. Z aksamitnego skosu 40 cent. długiego, podszytego muślinem układa się trzeci pukiel, koniec i węzeł do przepięcia.

N. 20. Kokarda z jedwabnéj krepy.

Dwa 6 cen. szerokie skosy, podwójnie złożone, układane wachlarzowo w 3 rzędy na kawałku owalnym, 6 cen. średnicy ze sztywnego tiulu. Środkiem spadający, wiązaną frendzlą oszyty koniec, układa się z trójkątnego kawałka, którego brzegi proste mieć powinny 42 cent. długości. Strona skośna układa się w podwójną kontrafałdę, przyszywa od spodu, odwraca i na kokardach przyczepia.

N. 21. Ubranie spacerowe z podwójną peleryną, którego formę podamy przy Nrze 13 Tyg. Mód.

Do czarnéj aksamitnéj sukni dodana jest tunika z boków podpinana i podwójna peleryna z czarnego kaszmiru. Dwie, jedna na drugą zachodzące, z tyłu rozcięte pelerypy, przy wykroju szyi razem w pasek wszyte, stanowią najmodniejsze dopełnienie wiosennego kostjumu. Dolna większa, ma 230 cent. szerokości, z przodu 50 a z tyłu 64 cent. długości. Zwierzchnia 190 cent. szeroka u dołu, powinna być w koło o 12 cent. krócéj krajana od poprzedzającéj. Czarna jedwabna w kwaściki wiązana frendzla, podwójne kaszmirowe pliski i piękne wyszycie jedwabnym sutaszem, stanowią garnirunek tuniki i peleryny na trzy haftki zapinanéj. Na podpięciach tuniki z boków, dodają się sute kokardy.

N. 22. Ubranie strojne z tuniką i chusteczką z grenadiny, z koronkowemi wolantami.

Trochę powłóczysta suknia z kolorowéj materji, z wyciętym stanikiem i rękawami dochodzącemi tylko po łokcie, ma na spódnicy trzy skośne wolanty, zachodzące jeden na drugi, zakończone dwiema pliskami aksamitnemi i sutą riuszą stanowiącą nagłówek. Tunika z czarnéj gazy lub grenadiny z boku i z tyłu podpinana, oszyta szeroką koronkową falbaną, na którą zaohodzi skośny, marszczony wolant jedwabny z nagłówkiem. Koronkowe wolanty przyszyte są do rękawów, pod które podaje się sute bufowane rękawki z białego tiulu. Czarna trójkątna, koronkowa chusteczka albo kawałek szerokiego koronkowego wolantu, z tyłu wśrodku w fałdy ujętego, stanowi dopełnienie stanika.

Na sute przystrojenie tuniki i przepięcie chusteczki, użyta szeroka aksamitka, którą podług wzoru układa się w długie pukle i końce.



N. 1—3. Wiosenne ubrania.

N. 1. Płaszczyk z pelerynką dla małéj dziewczynki.

N. 2. Kostium spacerowy w dwóch cieniach, z dodaniem płaszczyka z pelerynką.

N. 3. Suknia z tuniką i stanik z karoczkiem dla małéj panienki.

Opis do N. 13.

N. 1. Płaszczyk z pelerynką dla małéj dziewczynki.

Suknia wełniana w pasy, oszyta jest szerokim, skośnym wolantem; przy staniku pod szyję, dany krótki karoczek. Płaszczyk ukrojony na formę krótkiego paletocika bez rękawów, tylko z otworami do wyjęcia rąk, ma dodaną okrągłą, z tyłu rozcinaną pelerynkę 8 centy. od płaszczyka krótszą. Na modelu płaszczyk z popielatego letniego kortu, oszyty jest w zęby wyciętą listwą 4 cen. szeroką, nad którą dodana druga skośna, o połowę węższa listewka, na dwie strony w gładkie ząbki wycięta, śrdkiem 2 razy przestębnowana; powyżéj lekkie wyszycie z popielatego jedwabnego sznurka. Kapelusz okrągły z czarnego aksamitu ubrany wstążką i piórami.

N. 2. Spacerowy kostium w dwóch cieniach. Przy wełnianéj ciemno popielatej spódnicy 4 skośne 13. centy. szerokie wolanty, wycięte w zęby i objęte pliską jaśniejszego koloru. Tunika, stanik i płaszczyk są z jaśniejszego materjału z wypustką ciemną. Okrągłyfilcowy popielaty kapelusz ubrany rypsową popielatą wstążką, piórami i czarną koronką.

N. 3. Sukienka z tiuniką i stanikiem pod szyję, dla małej dziewczynki. Suknia z jasno fijołkowego korciku odrobiona jest podług formy dodanéj do ryc. 29 i 30 w N. 10 Tygodnika, z dodaniem mało znaczących odmian w kroju tiuniki i karoczka, które podług ryciny 3, łatwo będzie uskutecznić. Czarna kamelorowa taśma i białe plecionki stanowią oszycie koło stanika, tiuniki i spódniczki.

N. 4—5. Koszyczek do robót na postumencie. Materjał; brązowe i białe sukno szafirowy, czarny, brązowy i żółty kordonek, biały jedwab; sznurek złoty; wstążka 2 cen. szeroka i atłas szafirowego koloru; takiż fular lub tybet; tektura. Model składa się z postumentu, na 4 nóżkach 73 centy. wysokiego i dwóch koszyczków plecionych z czarnéj i żółtéj trzciny. Większy koszyczek z przykryciem, kształtu spłaszczonéj kuli, umieszcza się na wierzchu postumentu; mniejszy, płaski bez przykrycia u dołu. Lambrekiny z sukna brązowego i białego, podług ryc. 5 przykrojone i kolorowemi kordonkami wyszyte, przyozdabiają przykrycie większego koszyczka. Zwierzchnie, białe sukno, na wszystkich zębach lambrekiny, powinno być w około o $^{5}/_{4}$ centy. mniejsze od dolnego brązowego, obadwa zaś wycięte w ząbki w maszynie. Kwiatki wyszyte są kordonkiem niebieskim, z supełkami żółtemi, gałązki brązowym, a arabeska sznurkiem złotym i kordonkiem czarnym. Supełki z brzegu łączące dwa sukna, są szafirowe.

Okrągła atłasowa poduszeczka. mająca 12 centy; średnicy, podwatowana i białym jedwabiem w kratę pikowana, dodana jest na środku przykrycia i połączona riuszą ze wstążeczki z lambrekinami. Obadwa koszyczki wewnątrz wyścielają się fularem, lub tybetem szafirowym. Przyszycie górne pokrywa sznurek złoty, brzeg dolny jest przymarszczony i schowany pod deneczko tekturowe, tybetem czy fularem oklejone. Kokardy ze wstążki, przypięte jak ryc. 4 wskazuje dopełniają przystrojenia koszyczka.

N. 6. Stoliczek karzełkiem zwany. (Tom-thumb-table.) Moda i gust do podobnych stoliczków, pochodzi z Anglji, gdzie poprzednio zostały wprowadzone i są głównie wyrabiane; każdy jednak zręczny tokarz podług załączonego modelelu, potrafi odrobić go według żądanéj wysokości i wielkości.

Toczone nogi złocone albo na czarno politurowane, lub bejcowane, składają się z dwóch części kulą połączonych. Blat szrubowany z łatwością zdejmować się daje. Przyozdobić go można rozmaicie, stosownie go gustu; jużto malowaniem orjentalnym lub dekalkomanją, już to inkrustacją z drzewa, perłowéj konchy lub metalów, albo nakoniec różnego rodzaju pokryciem.

Dziś przedstawiony stoliczek, oklejony jest gładko pluszem, na którym wokoło dodana aplikacja z atłasu tegoż samego koloru.

Pod atłas daje się cienką tekturę, a brzegi podwija pod spód i oszywa złotym sznureczkiem. Brzeg otacza szeroka kręcona, jedwabna frendzla przybita świecącemi guziczkami.

Na aplikacją służyć może deseń podany na tekę do bielizny, ryc. 2 w N. 14 Tygodnika.

N. 7. Monogram na chustki męzkie, teki lub t. p. Haft biały atłaskowy lub kolorowy ze złotem. (Zobaczyć tekę do koszul, ryc 1 w N. 14 Tygodnika.

N. 8—9. Połączone litery do znaczenia chustek, bielizny stołowéj lub poszewek i prześcieradeł.

Parę tylko dużych monogramów podać możemy w dodatku do Tygodnika, większą zaś ilość liter i małe abecadło w monogramach, znajduje się na arkuszu z krojami, dodanym do N. 13 i 14 Tygodnika. Mięszanina kilku stosownie dobranych kolorów bawełny lub jedwabiu, bardzo obecnie jest używaną.

N. 10. Deseń haftu na skórze do cygarniczki.

Na cienkiéj nie glansowanéj, juchtowéj skórze, haftuje się jedwabiem kordonkowym, w trzech cieniach tego co skóra koloru. Brzegi otoczone są sznurem jedwabnym okręcanym. Układ cieniów i rodzaje użytych ściegów, odznaczają się na rysunku. Tak w szlaku jak i w deseniu środkowym, domięszane są dla ożywienia roboty, pojedyncze złote ściegi. Przypominamy że pod haft na skórze trzeba poddawać mocną podszewkę.

N. 11—13. Haft na poduszkę do kanapy. Ścieg mozajkowy, robota na kanwie.

Najtrudniejszem w takiéj robocie zadaniem, jest umiejętne dobranie wskazanych cieniów. Stopniowanie ich bowiem nie może być zbyt ostre albo rażące, ani też mdłe i nie wyraźne, lecz łagodne i zarazem żywe, wymaga więc umiejętności i wprawy, którą nie wszyscy w równym stopniu posiadają.

Na ryc. 12 przedstawiającym część narożnika w naturalnéj wielkości, widzimy dokładnie układ ściegów w połowie mijających się ze sobą. Zajmują one osiem nitek wzdłuż, a dwie wszerz i są jedną nitką między sobą, oddzielane. W skośnéj tylko linii, gdzie ściegi schodzą się ze sobą, ogólne prawidło nie może być stosowane i ściegi są krótsze lub dłuższe, ażeby pozostałą powierzchnię pokryły.

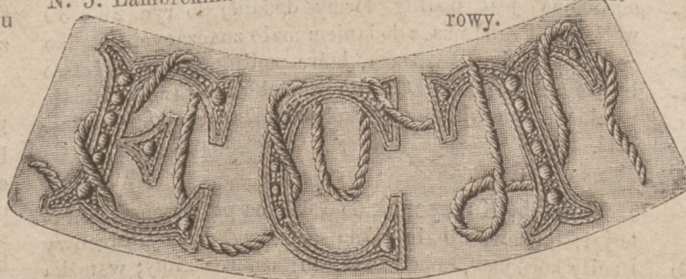
N. 11 podaje cały jeden narożnik w zmniejszeniu wraz z oznaczeniem użytych kolorów, a N. 13 przedstawia całość wykończonéj poduszki.



N. 4. Koszyk na postumencie do robót kobiecych. Deseń do lambrekiny pod N. 5.



N. 5. Lambrekina do N. 4. Haft kolorowy.



N. 7. Monogram do znaczenia chustek mężkich do nosa lub wyszycia na tekach. Zobacz tekę do koszul ry. 1 w N. 14. Tyg.

za niższą nitkę oczka, obrobić słupki 4ma pikotami, przedzielanemi 1 o. ści. a w końcu 4 o. ścisłe. Następne pięć promieni, nie zaczynają się od o. po. tylko zaraz 1 o. ści. i sł., robionemi w oczka, znajdujące się z lewéj strony poniżéj pikotów, w ten sposób ażeby 3 pikoty od góry pozostawały wolne. Nitki zaczynające i kończące robotę zamocować dobrze z lewéj strony, a gwiazdy następne łączyć pikotami; potem przyszyć je równo i mocno do papieru, przydając w odpowiedniéj odległości z brzegów tasiemeczkę koronkową i dopiero dodać połączenia sposobem na rysunku wskazanym.



N. 6. Stoliczek zwany karzełkiem. (Tom-thumb-table)

N. 14. Ścieg krzyżowy
na dywaniki, pantofle, torby t t. p.

Podana próbka ułożona jest ze ściegów zwykłych krzyżowych i ze ściegów podwójną wysokość zajmujących. Ściegi zwyczajne mogą być dwoma cieniami zielonemi, fijołkowemi lub niebieskiemi robione, oddzielające je zaś ściegi długie, są w dwóch cieniach koloru drzewno-orzechowego. Po trzech rzędach zielonych lub fijołkowych, następuje 1 rząd kordonkiem złotego koloru, ściegi zaś długie, rzucik na powyższem tle stanowiące, dane są kordonkiem czarnym i białym. Środkiem 4 rzędów odrobionych wzdłuż, dwoma cieniami orzechowemi, przechodzi stembnówka koloru maisowego.



N. 10. Haft na skórze kordonkami do cieniu, na cygarniczkę lub t. p.

N. 15—42. Rozmaite szlaczki
i wstawki haftowane i dziergane na płótnie, lub batyście do przyozdobienia bielizny.



N. 8. Połączone litery do znaczenia chustek lub bielizny. Ścieg atłaskowy, sznureczkowy i stębnówka.

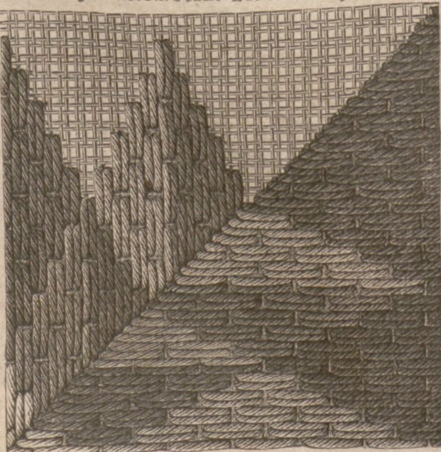
N. 43—44. Szlaki
z plisek, ząbków z tasiemki i atłaszu, do spódnic lub kaftaników.

N. 45. Wstawka
z roboty szydełkowéj i tasiemeczki koronkowéj.

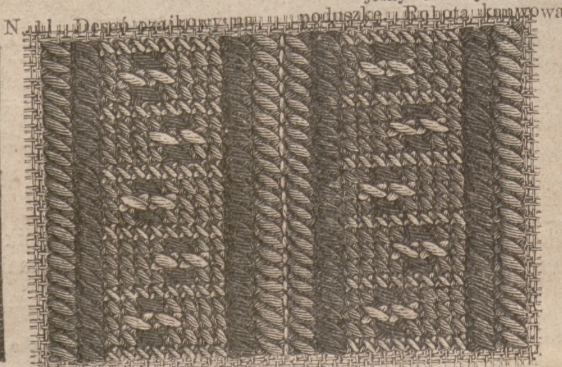
Zaczynając od jednego z sześciu promieni gwiazdy, robi się 5 o. po., potem omijając ostatnie z nich, w cztery następne zrobić 1 o. ści. i 9 słupków w potem odwrócić robotę i biorąc zawsze



N. 11. Deseń szalkowy na poduszkę. Robota kanwowa.



N. 12. Próbka ściegu właściwéj wielkości, do N. 13.



N. 14. Ścieg długi krzyżowy, na pantofle, torby i t. p.

N. 13. Zmniejszony deseń na poduszkę. Robota mozajkowa. Zobaczyć N. 11 i 12.

N. 46. Dziergane przymocowanie rękawów do koszul.

N. 47. Haftowany szlaczek do kaftanika.

Ryc. 32 w N. 14 Tygodnika.

N. 48. Krawat szalowy z jedwabnéj krepy.

Skośny kawałek krepy, 100 centy. długi, 13 cen. szeroki, w około obrębiony, a w końcach spiczasto ścięty i oszyty jedwabnemi kwastami, 7 do 9 centy. długiemi, zakłada się pod kołnierzyk i zawiązuje z przodu na zgrabną kokardę.



N. 9. Połączone litery do znaczenia bielizny.

N. 49. Szarfa do sukni z trojakiéj materji.

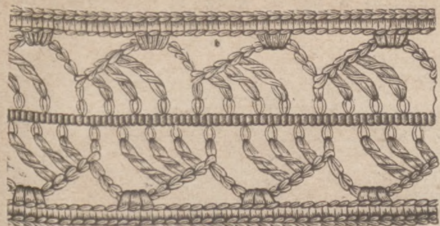
Piękność téj szarfy polega głównie na mięszaninie kilku gatunków jednego koloru materji. Szerokie bowiem końce są z aksamitu, przerabianego w paski atłasowe, kokardy z rypsu, a nad niemi upięcie z atłasu, ułożone w wachlarz.

N. 50. Ubranie dla niedorosłéj panienki.

Opis i krój na arkuszu z formami.

N. 51. Suknia z długą tuniką.

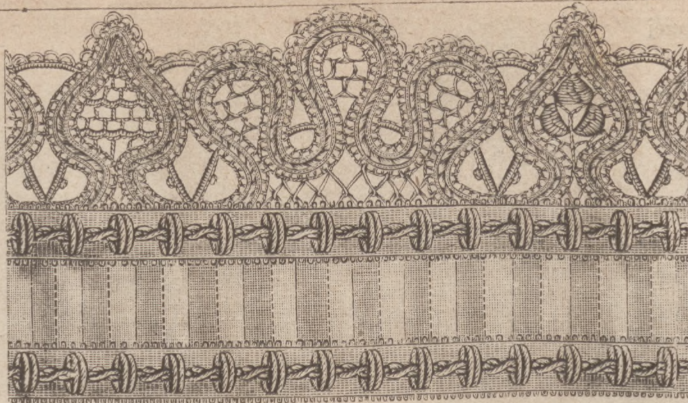
Każda z dwóch części tuniki ma w prostym do środka idącym brzegu 68 cent. długości, w górze 63 cent. szero-



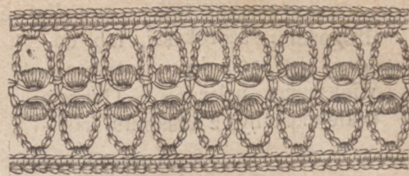
N. 15. Wstawka szydełkowa z tasiemeczką mignardise.



N. 16. Szlaczek szydełkowy z tasiemeczką mignardise.



N. 23. Szlak do koszuli z zakładek i koronki irlandzkiéj Do ryciny 25 w N. 14 Ty. Mód.



N. 19. Wstawka szydełkowa z nawijanemi pikotami.

N. 20. Szlaczek szydełkowy z nawijanemi pikotami.

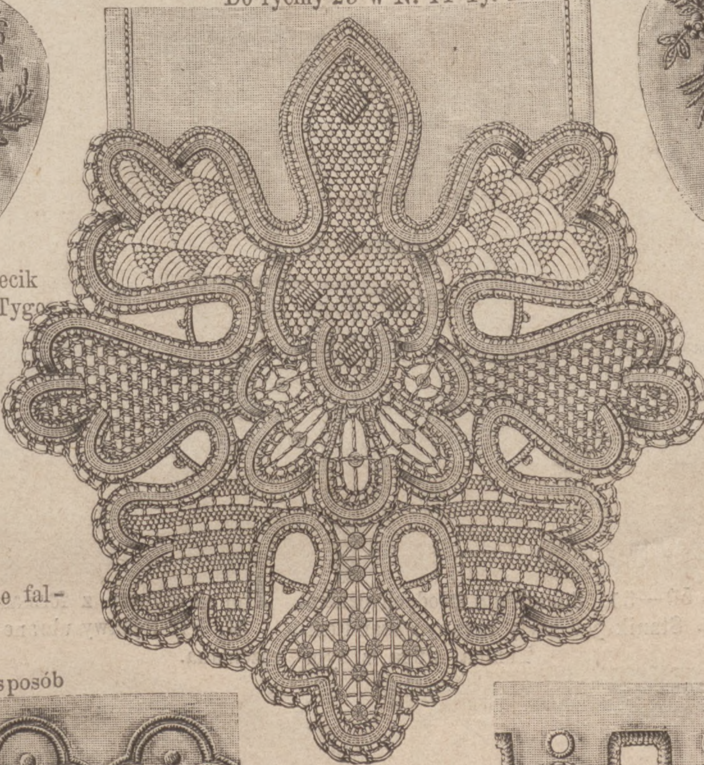
kości i jest od przodu okrągławo zwężana aż do spiczastego końca, w górze cokolwiek skośnie do przo-



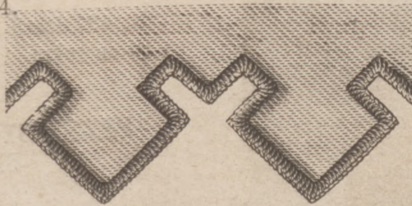
N. 24. Bukiecik haftowany atłaskiem. Do koszuli męzkiéj N. 46 w Tygodniku N. 14.

jest złota prążka, łączą się zaś jedn. z drugiemi wstążką, tegoż co skóra koloru Brązowa cyfra zdobi rogi zwierzchnich skrzy-

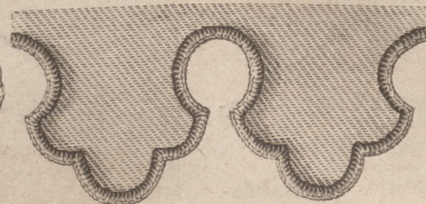
N. 25. Bukiecik haftowany atłaskiem do koszuli ry. 46 w N. 14 Tygodnika.



N. 26. Deseń na koronkę do krawatki ry. 15 w N. 14. Ty.

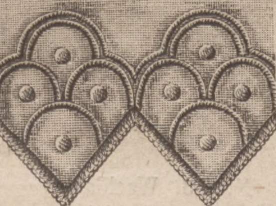


N. 27. Zęby dziergane jako zakończenie falbanek, penioarów, spódnic i t. p.



N. 28. Zęby dziergane do falban przy kaftanikach, spódniczkach i t. d.

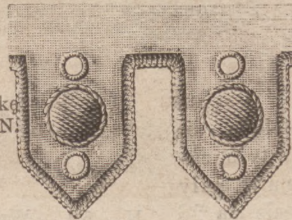
du ścięta, w głębokie fałdy ułożona i w ten sposób wszyta do paska, żeby garnirunek boków zachodził na siebie, a tunika ²/₃ części objętości pasa zajmowała. Z tyłu podpina się tiunika za pomocą tasiemek przyczepionych od spodu i do paska. Z przodu dodany jest krótki karoczek jak na ryc. 50. Garnirunek stanowi skośna marszczona falbana i fałdowana falbanka z tego co suknia materjału, pomiędzy które daje się plisę rypsową, zakończoną wypustkami.



N. 29. Szlaczek dzierg any do kaftaników.



N. 31. Szlaczek do nocnego czepka.



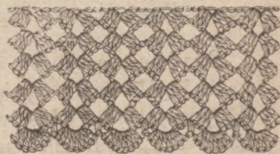
N. 30. Szlaczek do bielizny.

dełek i do takiéjże osady przywiązany jest jedwabny sznurek z obrączką i kwastem.

N. 54. Paletocik wcinany do figury.

Krój Fig, 42—46.

Paletocik podług powyższéj formy przykrojony, z ciężkiego jedwabnego rypsu, zeszywa się jak to litery oznaczają. Pod karoczek aż do wcięcia pasa, poddana jest podszewka ze sztywnego muślinu, a u dołu podszyta skośna 3 centy. szeroka listewka.



N. 21. Szlaczek szydełkowy.



N. 17. Szlaczek szydełkowy z pikotami.



N. 18. Szlaczek szydełkowy ze słupkami łączonemi w środku.

Falbana do tuniki z tyłu i do rękawów mieć powinna 7 cent. falbanka 3 cent. a plisa 4 cent. szerokości. Przy staniku i karoczku z przodu falbanka marszczona ma tylko 5 cent. a fałdowana riusza i plisa są także trochę zwężone. W górze na rękawie dodane są dwie bufy; przy pasku kokardy ze wstążki lub rypsu.

N. 32—33. Szlaczki do nocnych czepków



N. 34—36. Szlaczki do koszul, kaftaników, czepków nocnych i t. d.

N. 37—39. Szlaczki do bielizny.



N. 40—41. Szlaczki do bielizny.

Garnirunek stanowi 1 centy. szerokie podwójne pliski, bogate pasmanteryjne ozdoby i frendzla wiązana w kwaściki.



N. 22. Szlaczek szydełkowy z frywolitkami.

Frendzla przyszywa się tylko do tylnéj części karoczka aż do boczków. Nad pasmanteryją z tyłu, w miejscu gdzie karoczek, przyszyta jest do stanika na kokardzie ułożonéj z 4 pukli, rozeta z pasmanteryi, od któréj są spuszczone dwa kwasty na 3 centy. długich sznurach. Z przodu przy spięciu kołnierza, przypięta kokarda, ułożona z pukli rypsowych i atłasowych z końcami rypsowemi strzępionemi.

N. 52. Wachlarz spacerowy

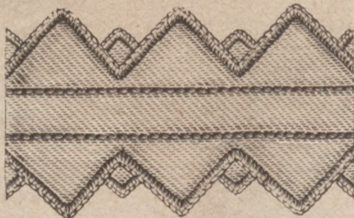
drewniany oklejony materją.

Cząstki drewniane wachlarza, których formę wskazuje N. 52, powinny mieć z brzegów 8 cent. długości, a ku środkowi przydłużać się stopniowo do 12 centymetrów. Najwłaściwiéj będzie pokryć je materją tego samego co suknia koloru i przystroić takiemiż jedwabnemi sznúrami, obrączką i kwastem.

N. 53. Wachlarz

spacerowy z juchtowéj skóry.

Skrzydełka skórzane równo w górze zakończonego wachlarza, mają 23 cent. długości, w górnym zaokrąglonym końcu 3, a u dołu 1 cent. szerokości; w koło każdego wyciśnięta

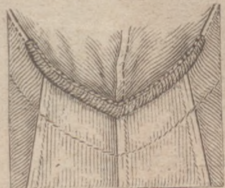


N. 42. Deseń na obrąb do koszuli lub kaftanika. Dzierganie i stębnówka.

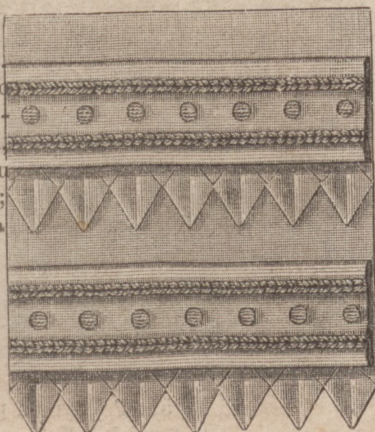
N. 55 i 56. Okrycie wiosenne

złożone z dwóch peleryn.

Podług podanéj formy stanowiącéj zwierzchnią część peleryny, można przykroić obadwa okrycia pod N. 55 i 56



N. 46. Przymocowanie rękawa do koszuli. Przeczytać opis do ry. 35 w N. 14. Tygodnika.



N 43. Szlak do spódnicy lub majtek, z ząbkami z tasiemeczki i sutaszem. Robota w maszynie.



N. 45. Wstawka robotą szydełkową przy tasiemce koronkowéj, któréj użyć można do obręba od kaftanika. Ryc. 19 w N. 14 Tygodnika.

N. 44. Szlak z plecioneczki i stębnowanych plisek. do majtek lub spódnic. Wzór troche zmniejszony.



N. 47. Haftowany szlaczek do ryciny 32 w N. 14 Ty. Mód.

podane; trzeba tylko przedłużyć ją do oznaczonéj długości i szerokości, lub dodać pod spód drugą o tyle powiększoną pelerynę. Okrycie takie może być z aksamitu, kaszmiru jedwabnego lub wełnianego rypsu.



N. 48. Krawat z krepy jedwabnéj.



N. 50—51. Suknie dla młodych panien. Krój na arkuszu z formami.
N. 50. Stanik pod szyję ubrany aksamitem. Tunika długa, z tyłu rozcinana.
N. 51. Rękawy ubrane bufami.

N. 55. Pojedyncza peleryna z czarnego aksamitu, naszyta jest fałdowaną falbanką, plisą jedwabną rypsową, u dołu zaś oszyta frendzlą jedwabną.

N. 56. Podwójna peleryna wyszyta sznurem.

Model z pięknego wełnianego rypsu, składa się z dwóch różnéj wielkości peleryn, rozciętych z tyłu, założonych jedna na drugą i wszytych razem w mały stojący kołnierzyk. U dolnéj peleryny przecięcie ma 26 cent. długości: u zwierzchniéj 18 cent.

Obadwa są skośnie do dołu a 2 i pół centy. wycięte. Fig. 36 podaje deseń właściwéj wielkości do wyszycia sutaszem. Dubeltowe pliski z jedwabnego rypsu, zakończone atłasow



N. 52. Wachlarz spacerowy, w oprawie drewnianéj, oklejonéj materyą.

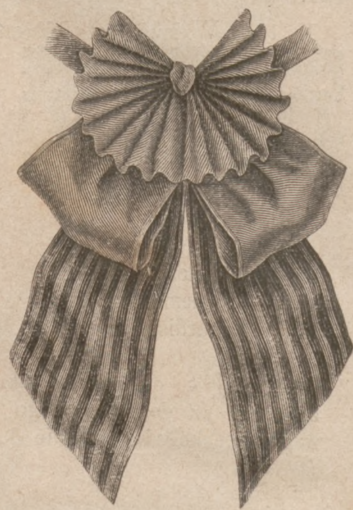


N. 53. Wachlarz spacerowy ze skóry juchtowéj.



N. 56. Podwójna peleryna wyszyta sznurem.

wypustką i frendzla w pęczki wiązana dopełniają garnirunek.



N. 49. Szarfa z trojakiéj materji do sukni.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Mazurki wyborne.

Zółtek 9 utrzeć do białości—wsypać 3 szklanki cukru miałko utłuczonego, mięszać do pulchności—następnie wsypać 3 szklanki drobnych słodzenek—wymięszać dobrze i 3 szklanki podłużnie cienko krajanych migdałów —nakoniec dodać z 9-iu pozostałych białek pianę, wymięszać ostrożnie i wlewać tę massę na pół palca grubości w papierowe foremki, wysmarowane woskiem. Po wyjęciu z pieca w którym się powinny zarumienić—lukrować dolną stronę i ubierać groszkiem i maczkiem cukrowym.

Foremki najlepiéj woskować nad parą od samowara.

Malwina O.



N. 54. Paletocik dla młodéj osoby. Krój na arkuszu z krojami N. XIII Fig. 42—46.



N. 55. Pojedyncza peleryna, naszyta plisowaniem i oszyta frendzlą. Krój na arkuszu z formami. N. XIV. fig. 47.